N. 41. WARSZAWA d. 30 Września (12 Października) ROKU 1872.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

To i owo.

Jesień tegoroczna dziwnie mi się wydaje podobna do niejednej pięknej pani, która żadną miarą przekonać się do tego nie może czy nie chce, że już od niejakiego czasu liczy sobie skończonych lat....o! do licha—no, dajmy na to....dwadzieścia. To chłodem odstrasza—to się słonecznie uśmiecha—to pochmurna—to jaśniejąca pogodą—to namiętnie rozwichrzona—to znów smętna, cicha, zadumana, łagodna, łaskawa.

Drzewa, nie wiedząc co myśleć o tem wszystkiem, z jednej strony, zdawna przyjętym zwyczajem, strząsają z siebie pożółkłe liście, z drugiej puszczają pączki nowe—ba nawet po raz wtóry kwitną. Choć przyznać trzeba, że dosyć ostrożnie. Naprzód—po za Wisłą—na przedmieściu, na Pradze. Tam jeśli się próba postępu tego powiedzie, w Warszawie może patent wynalazku na to wydamy.

Ale po prawdzie nie bardzo jest się rozbijać za czem. Głogi tam słyszę osobliwie się rozweseliły. Nie ciekawy to w każdym razie prognostyk. A może nie prognostyk, tylko niejako żółta, czerwona czy niebieska księga, mieszcząca w sobie summę wszystkiego, cośmy w tym roku, zrazu nadziei pełnym, przebyli.

Nie był ci on jeden z świetniejszych.

Z wiosny zanosiło się to niby na jedno z siedmiu lat Faraonowych (z rzędu tych mianowicie które były do wygrania—objaśnienie dla lubowników zielonego stolika). Ale potem, ni ztąd ni zowąd, przyleciały plagi od siedmiu boleści: trąby, grady, susze, powodzie,—i stało się: że zapowiadane zrazu pełne ziarno, zmieściłoby się dziś w żołądku lada lichej kostrzewy,—poczekawszy zaś, wypadnie także: że rycząca pachciarzowa pociecha, z przyjemnością zjadłaby siebie samą z lat poprzednich.

Boże—cóż my to odtąd za mleko pić będziemy! Bo żeby się ilość jego zmniejszyła—o to nie miejcie obawy poczciwi ludziska. Rzecz to wspólnego porozumienia pomiędzy wodą, kredą, jaglaną kaszą opłatkiem i oczkami pozłoty.

Albo i owoce. Nie ma ich dziś w kraju—powiadają. Wymarzły w zimie—albo z wiosny wiatr potrząsał im kwiaty, gąsiennice powyjadały szypułki; lub znowu w lecie grady je powytłukały, i tym podobnie. Słowem, że owoc za dni dzisiejszych, jest, jak za błogiej pamięci Raju ziemskiego, w całem znaczeniu tego słowa: *owocem zakazanym*.

Istotnie bowiem dochodzi to do obrazy niemal Boskiej, ażebyś w roku, w którym tylu biednych ludzi powszedniego chleba mieć nie będzie, pozwalał sobie jeść śliwki po dwa grosze sztuka, jabłka po pięć, gruszki po dziesięć i wyżej.

Tych owoców jednak nie myślcie żeby znowu taki brak był nadzwyczajny. Owszem—przylatują z niemi wagony pełniutkie, przypływają galary. Pędzisz co tchu—gdzie!—rozdrapali już monopoliści, a żydkowie—przekupki nawet dostają ów towar z drugiej ręki. A ta reszta?—to nie do sprzedania—powąchać ci jedynie wolno—to tylko w przejeździe. Zadzwonili—świsnęła para, i poleciało. Wtedy dla pocieszenia mówisz sobie jak lis w bajce:—mniejsza o to a—nawet i tem lepiej—a nużby cholera.....

Słowem że w ogóle wcale nie wesoło zapowiada się przednówek po owym świetnym roku kometowym, co już zawczasu mając na względzie, wybraliśmy się bardzo tłumnie szukać rozrywki po obcych kątach; w części, ażeby cudzą wodą ugasić pragnienie, w części żeby się umyć słonym bałwanem—a byli i tacy których popęd filantropijny skusił jak zwykle do znacznej składki na wsparcie Benazeta.

Tym ostatnim brak cierpliwości zarzucić można. Jakże? poczekawszy—Benazet do Ciechocinka nam się sprowadzi. Nie wiem czy na pewno—ale być może. Obietnice robi nie do uwierzenia, byle się tylko na naszej ziemi mógł dorabiać—tak serdecznie nas pokochał!

Nie byłoby to bez niejakich korzyści. Naprzód znaczne skrócenie drogi do jego świątyni, a z niem i kosztów oszczędność. Powtóre zaś—owych z cudzemi pieniędzmi uciekających *kantorów*, kędyż łatwiej namacać jak przy brzmiącej rulecie? Bo już to duch przedsiębierczy ma to do siebie, że byle sobie kapitał jaki zdobył, zaraz by go uczciwie rad powiększyć co najprędzej. Nie zawsze się to udaje—ale też i nie ryzykujesz w tem nic swojego. Tak więc—chodź tu do nas przyjacielu Benazecie.

Ale z drugiej strony, nie obeszłoby się i bez niedogodności niejakich. Graliby wtedy i tacy, którzy dziś, w braku rulety, do loteryi się sobie coraz żywiej zagrzewają. Ludzie bez butów, z głodnemi żonami, z dziećmi nie mającemi koszuli.

Sam nie jednego takiego widziałem—ślicznie naonczas Bilse przygrywał – przepysznie wyglądał wodotrysk przy bengalskich ogniach. Szedł wtedy—na rzecz ubogich niby, krwawo uzbierany zarobek tygodniowy—istny grosz wdowi—cóż z tego kiedy bez ewangelicznej intencyi...

Wartoby się raz szczerze nad tem zastanowić: czy owo zbyt forsowne leczenie ubóstwa z pomocą działania na ludzką chciwość, nie stwarza nowej choroby społecznej, gorszej od niedostatku fizycznego—bo upadek moralny.

Do tego, ponieważ te tak zwane zabawy dobroczynne coraz wyłączniej loteryami się stają, tożby im wszystko jedno było bliżej się odbywać, czy dalej—w Saskim ogrodzie, czy w Parku na Pradze;—człowiek, w nadziei wygrania, na koniec świata nawet pójdzie, czy pojedzie. Przy tej zręczności, ogród nasz mniejby był systematycznie obłamywany, wypalany, deptany. Dość tu przypomnieć opłakany pomysł tegoroczny, wystawienia dla skoczków Salomońskiego budy na wielkim trawniku. Pomijając już demoralizujące podobnego widowiska wrażenia, widziano ż kiedy większe publicznej rzeczy zniszczenie?

W ogóle, sądzilibyśmy, że dla dobra ogrodu, sta-

łych w jego łonie kramów jest już aż nadto podostatkiem. Proszę się naprzykład przypatrzeć okolicom budy mieszczącéj w sobie wodę sodową. Dwa przepyszne sąsiadujące z nią drzewa, uschły już bez najmniejszego ratunku, a woda jednak nic nie staniała. Widocznie, dla wykopania dołu na lodownię, popodcinano korzenie tych natrętnych sąsiadów, nie pomnąc na to, że to jednak własność publiczna.

Co to jest własność publiczna? To coś takiego, co należy do wszystkich i razem do każdego z osobna.

Przejęty ową myślą, widzę ja dniami temi, jak również w okolicy pomienionéj budy, posługacze ogrodowi ścinają drzewo nadłamane wichrem. Zdrowe ono miało, zielone całkiem gałęzie, i chociaż pruchnieć zaczęło od spodu, gdyby je było podnieść i podeprzeć, kilka lat jeszcze bezpiecznie sobie żyć mogło. Co prawda jednak, mniej jest zachodu ściąć jak podeprzeć, a my lubimy sobie sądy doraźne. Zebrała się garstka patrzących, ten i ów szemrze z żalem; aż wreszcie ktoś powiada:

— Moi ludzie, starajcie się przynajmniéj, żeby drzewo padło w stronę odkrytą; inaczej narobi szkody.

Spojrzeli na niego, jakby mówiąc: a waspanu co do tego? i pełnili daléj co im kazano.

W chwilę potem drzewo runęło na chybił trafił, druzgocząc lipę i kasztan sąsiedni.

Pomyślałem sobie: stała mi się szkoda; boć przecież i jam jest jeden z właścicieli ogrodu, jak drudzy. Ale nie powiedziałem tego głośno, bo gdybym był powiedział, ludzie ci z siekierami w oczy by mi się rozśmieli. Jakże? toż przecię: nie było nas, był las; nie będzie nas... no zapewne, jak was nie będzie...:

Podobnych do tej egzekucyi nie mało się odbyło lat temu parę; są też ich dotąd ślady nie zatarte. Grudniowe burze ponadłamywały wiele olbrzymich konarów, niektóre drzewa powyrywały z korzeniem. Konary należało klamrami poutwierdzać, jak są tego dotąd z dawnego gospodarstwa przykłady, drzewa zaś (po większéj części najzupełniej zdrowe) można było nazad poosadzać, i na wiosnę aniby pamiętały co się im w zimie przytrafiło. Znaleziono jednak krótszem nierównie powiedzieć sobie z siekierą a piłą w ręku: że takie to już było drzew tych przeznaczenie. A zresztą: co tam! za jakie lat sto kilkadziesiąt powyrastają zupełnie takie same; a nuż nawet piękniejsze?...

Żart na bok; ale istotnie, obecne w ogrodzie naszym gospodarstwo, do bardzo opłakanych policzyć się godzi. Zdaje się, jakby w nim uznawano jedynie dodatek do Letniego teatru, coraz więcéj w nim ulic, coraz mniej trawników. A i te pozostałe jeszcze, Boże zmiłuj się! czyż je nazywać można murawą? Pomijam już, że i one w części za ulice mocą kontrabandy służą, w części za plac boju do gry w piłkę lub w konie; trzebaż jeszcze, że im co jesieni, wszystkie liście z drzew spadłe, starannie dokądś zabierane bywają, a tak, przy najlepszéj chęci, wyjałowiona przez lato ziemia która im służy, na wiosnę nie ma nawet z czego zaczerpnąć zasiłku. Co prawda, zwozi się tam wtedy błoto z ulic i śmiecie; ale nie myślę żeby to był środek sanitarny. Dla tego zawczasu na to zwracamy uwagę; niechbyśmy się jeszcze przed zimą zmiany w tym przedmiocie doprosili.

Jeszcze jedna uwaga, również do uwzględnienia na następne lata.

Z kwestją własności, ściśle się wiąże także kwestja wygody publicznéj. Otóż w roku bieżącym, z powodu teatrzyku w ogródku Tivoli, jak wiadomo, wyjęto bruk na znacznéj przestrzeni w ulicy mającéj nieszczęście sąsiadować z jego murem. Skutkiem tego, mieliśmy przez lato afrykańską w całéj tej części miasta kurzawę, a następnie wyboje całkiem sielskie i cuchnące błota kałuże. Pana Trapszy od miesiąca już nie ma, a dopiero dniami temi zabrano się tam do przywrócenia wreszcie pożądanego bruku. Zapewne lepiéj późno jak wcale; przypuszczamy nawet, że pomienione powyżéj kałuże, robocie tej dotąd na zawadzie stały. Pytamy tylko: czy to ogródek, choćby z najsmaczniejszem piwem, a w nim teatrzyk choćby najzabawniejszy, są znowu rzeczą tak niemałéj wagi, żeby aż dla nich miasto zmuszone było cierpieć niewygodę?

Gdybyż choć, przez wdzięczność za to, teatrzyk ów tańszym być raczył! Ale nie, ceny tam też same, jeśli nie wyższe, co w teatrze Letnim lub Rozmaitości (mówimy o miejscach z których słyszeć można.)

Co prawda grano tam i Hamleta. Nawet bardzo zabawnie było, jak się w téj sztuce odezwał Poloniusz: „Mości książę udawałem raz w życiu Juliusza Cezara. Brutus mię przeszył sztyletem."

— Co za okrutnik! mówił mu na to niegrzeczny królewicz—zabijać tak wytrawne cielę!...

(G). W dniu 19 Lutego 1873 r. upływa czterysta lat; jak się w Toruniu urodził Mikołaj Kopernik. Aby uczcić przynależnie pamięć wielkiego męża, Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu przygotowało Album Kopernikowe i ogłosiło na nie prenumeratę, zachęcając w gorącéj odezwie do współudziału w tak ważnéj i blisko obchodzącéj nas sprawie. Naturalnie że i Niemcy w Toruniu, gotują się do uczczenia dnia pamiątkowego, aby stwierdzić niejako urzędowne pobratymstwo swoje ze sławnym astronomem. W jaki sposób to uskutecznią nie jest nam wiadomem, czytaliśmy tylko doniesienie, że pierwsze zebranie na którem głównie zastanawiano się, czy Polaków zaprosić do współudziału, i w jakim języku wydać to zaproszenie, skończyło się bardzo niefortunnie bo krzykiem, wrzawą i ogólnem wszystkich nieporozumieniem.

Album Kopernikowe mające się wydać składać się będzie z życiorysu naszego rodaka: z portretu jego malowanego przez Jana Matejkę, z dwóch odbitek obrazów starożytnych również go przedstawiających, z fototypowej podobizny pisma Kopernika obejmującej jedną stronice nieśmiertelnego jego dzieła *de revolutionibus* i z medalu pamiątkowego. Całe to Album w ozdobnem bardzo wydaniu w drodze prenumeraty, kosztować będzie rs. 6 kop. 75. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie, a i Redakcya nasza pośrednictwem chętnie się zajmie, i postara się aby zaraz po odbytej uroczystości wydane Album doszło do rąk każdego z prenumeratorów, przysyłających do niej należytość.

W myśli zajęcia się publicznego tak ważną uroczystością, pan Tytus Maleszewski znany z talentu malarz pastelista wydał wizerunek naszego Astronoma podług obrazu Ghirlandaja sławnego mistrza florenckiego wykonanego z natury w młodym jeszcze wieku. Jest to praca bardzo ładna, format duży a popiersie sławnego męża przedstawione prawie w naturalnej wielkości.

Nabyć go można we wszystkich księgarniach, cena egzemplarza sr. 3.

Ponieważ z zamierzoną uroczystością Kopernikowa, łączy się i cześć dla nauki, która oby jak najdłuższym promieniem zakreślała koło swej działalności, nie od rzeczy zapewne będzie podniesienie myśli rzuconej przez Przyrodę i Przemysł, założenia w kraju naszym wyższego technicznego zakładu naukowego i szkół rzemieślniczych. Ważna to niezmiernie sprawa, a urzeczywistnienie jej głównie przyczyni się do dobrobytu całego kraju, wiele pod tym względem pozostawiającego do życzenia. Rolnictwo dźwiga się jak może, ale przemysł, handel, rzemiosła, różne przedsiewzięcia fabryczne, w opłakanym znajdują się stanie. Brak ludzi fachowo wykształconych głównym tego powodem. Mamy prawników, doktorów, nawet literatów krzykliwych mnóstwo, a krytyków jak liści na drzewie, ale jak przyjdzie założyć jaką współkę handlową, rozwinąć młynarstwo, wyroby lniane, górnictwo, wszyscy umywają od tego ręce, radzą; łają gnuśników i namachawszy się piórem ile sił starczy, zakładają ręce wpadając w milczącą zadumę. Starzy do tego wziąść się już nie mogą, młodzi nie chcą, przychodzą też cudzoziemcy i śmiejąc się skrycie, zabierają z pod stóp naszych bogactwo, jedynie dla tego, że się po nie schylić nie chcemy. Krzyki o utylitaryzm w literaturze, wyszydzanie wszelkich porywów ducha dalekich od natychmiastowych korzyści materjalnych, kopanie wzgardliwe idealnej strony życia, nic tu nie pomogą, bo gdzie trzeba czynu tam słowa nie wystarczą.

Prawda, że instytucyi do nabycia potrzebnego uzdolnienia w tym kierunku, prawie żadnych nie posiadamy, ale dla chcącego nie ma nic trudnego, i kto chciałby, umiałby zostać dobrym kupcem, przemysłowcem, fabrykantem a nawet i wybornym rzemieślnikiem. Ale na nieszczęście chęci brak, i zawsze po dawnemu nadajem pracy arystokratyczne podziały, rolę, urząd, a jak dziś i literackie zajęcie, stawiając górą po nad wszystkie inne. Funduszów nie brak, bo kto może o własnym chlebie przez lat pięć a nawet i siedem, aplikować, doktorować i bawić się w literaturę i krytykę, aby zostać nie tęgim prawnikiem, lichym doktorem i wyrobnikiem literackim, ten może także uzdolnić się na dobrego, kupca, przemysłowca, fabrykanta i rzemieślnika, byleby jak powiedzieliśmy były chęci po temu. Nowy instytut, którego się Przyroda i Przemysł domaga, jak również i szkoła techniczna projektowana przez Kurjer Warszawski, nic tu nie pomagą, jeżeli się w młodzieży naszej nie wyrobi przekonanie, że nie dyploma naukowe uszlachetniają człowieka, ale praca pożyteczna bodaj z heblem albo młotem w ręku.

Gdy takie pojęcia wskróś przejmą młode pokolenia, wówczas wszystko się znajdzie, instytut po instytucie otwierany będzie, dziś mógłby być zakładem wiele obiecującym ale bez uczniów. W Prusach od lat dwunastu przeszło sto różnych wyższych naukowych zakładów otworzono; obecnie robią starania o zniesienie opłaty za publiczne wychowanie szkolne, u nas gdyby coś podobnego miała miejsce, z pewnością wkrótce nie miałby kto drzewa porąbać i zapalić w piecu, a do wynoszenia śmieci sprowadzalibyśmy robotników z zagranicy. Według bowiem pojęć dotąd na nieszczęście tak uporczywie utrzymujących się, wyjść na człowieka, znaczy nic nie robić, stroić się, wydatkować, szastać, a co najwyżéj być rolnikiem, urzędnikiem, doktorem, inżynierem lub krytykiem albo przeglądaczem prassy perjodycznéj: być zaś nicponiem, wstydem rodziny i zakałą społeczną, nie znaczy zostać próżniakiem i darmozjadem, ale szewcem, krawcem, pastuchą, słowem pracownikiem choć wielce pożytecznym, ale w pojęciu przesądnem bardzo nisko stojącym w hierarchii porządku społecznego. Brak gruntownéj nauki przesąd ten stworzył i on go bez zmiany prawie daléj utrzymuje. Niedouczkowie mrowią się na wszystkie strony: postęp nauki na chwilę się nie wstrzymuje, ale chcąc iść z nim ręka w rękę, trzeba znać dobrze początek jéj a nie od końca zaczynać. U nas inaczéj dziś się dzieje. Co było to powiadają, mniejsza o to, bo wszystko to i torby sieczki niewarte. Biorą się więc od końca, a że i to wielkiéj wymaga pracy do jakiéj nie ma się ochoty, z nowych zatem teorji. z nowych pojęć, chwytają główne zasady, źle pojęte, ale wyrozumowane, i robią je przewodnikami swego

postępowania nieraz wpadającego na potworne bezdroża. Hegel wynalazł ideę absolutną do któréj wszystko zmierza więc *dziś* moje a *jutro* niech się samo sobą zaprząta. Ot! i nihilizm. Pozytywiści wyrzekli, że każdy skutek ma swoją przyczynę i wszystko jest konieczne i nieuniknione, że można z przeszłości wytknąć drogi na przyszłość jakiemi pójdzie społeczność cała lub nawet pojedyncza jednostka, więc wolna wola jest mrzonką, mus wszystkiem. Ot! materjalizm z ateizmem do współki wsprzągnięty. Darwin powiedział, że walka o byt jest prawem któremu ulega cały świat organiczny, więc co twoje to moje, jeśli mam pięść silniejszą.

......Ot! i socjalizm depczący naraz jeden wszystkie prawa dotąd obowiązujące. Dwie ucieczki pomocników czy subiektów handlowych okradających swoich chlebodawców, owe tak często praktykowane kradzieże, tak w domu jak w kościołach, owe wysilania dowcipu na niepraktykowane dotąd oszustwa, wszystko z jednego źródła bierze początek..... w ciemnicy i w niedouctwie.

Gdy w górze z nauki robią ofiarnego kozła dla schlebiania próżniactwu i własnym namiętnościom, wyrosłe ztąd błędne pojęcia, spływają na dół, wsiąkają w massy i zarażają je najobrzydliwszémi przekonaniami. W społecznościach wszystko solidarnie jest z sobą połączone, gdy góra rozumna i zacna, dół złym być nie może: góra się psuje, dół staje się strasznym.

Nie budźcie mnie.

Nie budźcie mnie w różannych snów rozkwicie,
Świat cały mój w jednym rozkosznym śnie,
Za taki sen zachwytu dałbym życie
Nie budźcie mnie.

Na zimny świat ja patrzeć nie chcę wcale,
Bo w świecie tym radość ukryta w łzie.
Pozwólcie mi marzyć o ideale
Nie budźcie mnie.

Al. M.....

DEPOZYT

POWIEŚĆ

PRZEZ

WALERJĄ MARRENÉ.

(Dalszy ciąg.)

Młody człowiek nie odpowiadał zrazu, na tego rodzaju słowa nie ma odpowiedzi, jednak nie dziwił się Pliszce: miał słuszność, współczucie ludzkie zbyt często jest fałszywą monetą.

— A więc, wyrzekł po chwili z mimowolną dumą szlachetnego serca, zaczekaj pan z osądzeniem mnie, aż dojrzysz co się pod mojem ukrywa.

Skłonił mu się lekko i odszedł, mógł to od dawna uczynić, czas nie był zachęcającym do długiej gawędy przed domem, przecież pomimo to, uszedłszy parę kroków odwrócił głowę, i dojrzał Pliszkę, jak stał nieporuszony wsparty plecami o drzwi domu, pod migotliwem światłem latarni. Wrócił więc i wyrzekł łagodnie.

— Nie zapominajże pan przyjść jutro rano po klucze: wszak pamiętasz pan dom?

Pliszka skinął głową, może nie wiedział jak mu odpowiedzieć na te dowody dobréj woli, wstyd mu było swéj nieufności, a na ufność zdobyć się nie mógł. Oczekiwał bez żadnéj niecierpliwości końca tej rozmowy, i stał u drzwi swego domu jakby mu tam wejść nie było pilno, jakby lękał się widoku ukochanych twarzy. Wreszcie po długim namyśle, pchnął nizkie drzwi, z rodzajem rozpaczy i zapuścił się w ciemny korytarz wiodący na ciasny dziedziniec. Tam w głębi migało przyćmione światełko za szybami nizkiego okna. Znów chwilę zatrzymał się przy wejściu, i patrzył w ten jasny punkcik rozświecający w koło ciemność nocy. Energiczne rysy jego nabierały miękkiego wyrazu, może pod tą szorstką powłoką, kryło się wiele rzeczy zgłuszonych żelazną ręką nieszczęścia: może człowiek ten jak każden inny, zdolnym był otworzyć na oścież serce swoje uczuciom: może opryskliwe usposobienie, było tylko formą narzuconą przez tłumione boleści, dość że gdy wszedł do biednéj izdebki, gdzie znajdowała się jego rodzina, był zmienionym do niepoznania, gorzki uśmiech zeszedł z ust jego, pewność siebie opuściła go zupełnie. Zwolna, nieśmiało, z rodzajem trwogi prawie, wsunął się do izby i patrzył w koło smutnym wzrokiem. Naprzeciw wejścia na tapczanie przytulając skurczone członki do wygasłego ogniska, jakby szukała tam resztek ciepła, siedziała kobieta. Wyniszczona twarz jej nosiła ślady minionej piękności, ale czy piekność ta przekwitła zwyczajnym biegiem lat, czy zwarzyła ją przedwcześnie nędza i choroba, trudno było odgadnąć. Włosy jej były krótkie i wymykały się gęstemi kosmykami z pod białego czepka, twarz wyniszczona miała ten przygnębiony wyraz, świadczący że wszelka siła oporu wyczerpała się niepowrotnie w walce życia, że teraz ten kształt ludzki pozbawiony kierunku, był już tylko pastwą okoliczności; ręce jej były bezwładne, choroba odjęła jej sposób zarobku i uczyniła dla reszty rodziny próżnym ciężarem. Ona nie była już w stanie opierać się losowi ani walczyć, ale za to mogła cierpieć jeszcze, ostatnia to władza zamierająca w człowieku. To też jej przygasłe spojrzenie, spoczywało z rodzajem osłupienia na dwóch małych dziewczynkach, które w kącie probowały bawić się gałgankami. Na dzieciach tych także, znać było nędzę, twarzyczki ich wychudłe, miały ten wyraz przedwczesnéj dojrzałości, jaki ryje niedostatek. Znać zabrakło im powietrza i pokarmu, głód wyglądał z ich zapadłych policzek, z tych oczów chciwych... gorączkowych.

Przy bladem świetle łojowéj świecy, najstarsza córka haftowała pilnie, wrabiając w batyst kosztowne koronki i raz wraz rozcierając kostniejące ręce.

Ona jedna wśród przygnębionéj rodziny jaśniała wdziękiem lat szesnastu, organizm jej silnie rozwinięty, opierał się widać rozkładowemu działaniu nędzy. W téj ciemnéj, zimnéj, wilgotnéj izdebce, wyglądała jak kwiat ocalony od burzy. Rysy jéj przypominały razem ojca i matkę, ale w zmiękczonym przetworzonym typie, przecież nie miała tej mdléj piękności cechującéj zwykle miejskie kobiety, których właściwem miejscem jest sztucznie oświetlony salon. Ona miała tę czerstwą puszystość płci, nie lękającéj się słońca, mogła bezkarnie kąpać czoło w jego promieniach i przepędzać noce bezsenne, jedno i drugie nie odbierało świeżości jej licom, nie gasiło żywego rumieńca. Usta jej zdawały się stworzone do samych uśmiechów: pełne, wiśniowe, trochę zbyt szerokie może, odsłaniały dwa rzędy bielutkich ostrych ząbków, których zwykle Józia w każdéj potrzebie, używała zamiast nożyczek. Oczy jej właściwie nie miały żadnego wyrazu, było to czyste zwierciadło duszy, ale dusza Józi prócz ciekawości, prócz zwykłych zachceń młodych dziewcząt, nie rozwinęła się jeszcze w żadnym kierunku, więc była to pusta, karta, mogąca według okoliczności, zbrudzić się lub zapełnić czystemi obrazami: dotąd nie było tam nic, nic zupełnie.

A jednak sama piękność już stanowiła pokusę. Że była piękną, o tem mówiło jej każde zwierciadło i każde spojrzenie ludzkie, czuła w sobie z tego powodu pewną wyższość i to napełniało ją niewinną próżnością: czy jednak zawsze tak pozostać miało? To poczucie już stawiało ją na tak śliskiéj drodze, iż trzeba było nadludzkich sił by się na niéj utrzymać, bo piękność jej nie miała równoważnika w rozwinięciu inteligencyi i zdrowych pojęć życiowych, więc ten dar Boży był zarodem zguby.

Zaczynało jej być coraz przykrzéj: spędzać dnie wieczory dla nędznego zarobku nad męczącą robotą, przygotowując stroje dla innych mniéj może uposażonych wdziękiem od natury, myślała w duchu że to była niesprawiedliwość, że te wszystkie piękne rzeczy dla niéj lepiejby przystawały, i coraz bardziéj nabierała wstrętu do ciemnego perkaliku, co przecie obejmował tak ślicznie jej toczoną kibić.

Dotąd Józia była uczciwą dziewczyną, przecież jeśli jaka nadzwyczajna okoliczność, nie wstrzymała by biegu spraw ludzkich, można było obrachować godzinę jej upadku. Teraz haftując miała brew ściągniętą, jakaś głęboka niechęć malowała się w przycięciu jej ust, może zapytywała saméj siebie, czemu ta ciężka praca nie zdoła ocalić rodziny z przepaści nędzy, nie da jej dostatecznego kawałka chleba przynajmniéj.

Pliszka objął jednym rzutem, smutny obraz przedstawiający się oczom jego, powolnym krokiem zbliżył się do żony i wziął jej bezwładną rękę.

— Jakże ci teraz Maryanno, zapytał zaledwie słyszalnym głosem, obejmując ją wzrokiem miłości.

W przygasłych oczach kobiety mignął jakiś promień jaśniejszy, ale zagasł natychmiast!

— Tak jak zawsze odparła rozbitym głosem.

A potem dodała spoglądając na wygasłe ognisko.

— Zimno mi.

Mąż załamał ręce, aż stawy zatrzeszczały, miał może na ustach gorzką odpowiedź, ale jej nie wymówił.

Dziewczynki od chwili wejścia ojca, spoglądały na niego z widoczną niespokojną nadzieją, spodziewały się zapewne że im coś przyniesie, nie śmiały jednak o to zapytać, tylko zawiedzione w oczekiwaniu spuściły smutnie główki, a młodsza wybuchnęła głośnym płaczem.

Kobieta poruszyła się na tapczanie, jakby głos ten rozbudził w niej macierzyńskie uczucie.

— Dzieci głodne, wyrzekła zwracając się do męża, nie jadły nic od rana.

Pliszka zadrżał gwałtownie i rzucił się całem ciałem, jak człowiek dotknięty gorącem żelazem, przesunął zwolna ręką po spracowanem czole, na które wystąpiła śmiertelna bladość i usiadł ciężko na ławie, ale nie wymówił słowa, bo i cóż mógł powiedzieć. Nie darmo tak długo zwlekał swój powrót, czuł co go tu czekało. Spojrzał tylko z rodzajem rozpaczy na biedne sprzęty mieszkania: nie było tam już nic, nic wcale, coby zastawić lub spieniężyć można.

Tymczasem starsza córka wstała od roboty, dostała z szuflady resztę chleba i pokrajała go na pięć części, potem zbliżyła się do rodziców. Ojciec odsunął swoją część w milczeniu i ukrył głowę w dłoniach, ale matka nie zdołała oprzeć się głodowi. Józia uspokoiła dwie małe siostrzyczki niedostatecznym pokarmem, potem położyła je spać i znowu powróciła do swego zajęcia. W pokoju panowała głucha cisza, długi czas żadne z nich nie śmiało jej przerywać, tylko słychać było czasami syczenie knota dopalającéj się świecy i wiatr huczący w komi-

Pliszka siedział ciągle nieruchomy z głową wspartą na rękach, jakby nie mógł znieść widoku tej nędzy. Świeca zanurzywszy się w roztopionym łoju rzucała jasne błyski i zapadała w ciemność po kolei, zamigotała jeszcze parę raz i zgasła. Noc ogarnęła izdebkę, on nie spostrzegł tego.

— Ah! mój Boże, zawołała żałośnie Józia, nie mam przy czem skończyć roboty, a obiecano zapłacić mi zaraz.

Głos jej rozbrzmiał próżno, oboje rodzice nie byli w stanie nic uczynić, nie wiem nawet czy ją usłyszeli. Dziewczyna namyślała się chwilę, wreszcie wyrzekła półgłosem:

— Pójdę naprzeciwko tam się świeci.

Słychać było skrzypnięcie drzwi i lekki szelest jej kroków: ojciec i matka pozostali sami. Zrazu panowało pomiędzy niemi głuche milczenie. Wreszcie kobieta westchnęła ciężko, ciemność zakrywała przed nią oblicze męża, inaczej byłaby stłumiła tę niemą skargę.

— Maryanno wyrzekł głucho, Maryanno miejże przynajmniéj miłosierdzie nade mną.

— Albożja narzekam, odparła z niechęcią, chociaż dokucza mi głód i zimno. Cóż robić nie długo mnie pewno już na świecie, nie będę jadła wam chleb od ust odjęty daremnie.

Były to okrutne słowa, a jednak można je było przebaczyć tej nieszczęśliwéj kobiecie.

— Nie mów tego, na Boga, zawołał mąż, chwytając jej bezwładne ręce i ściskając je w swoich z rozpaczą: powiedz czego chcesz więcéj ode mnie?

— Ja nic nie chcę, wyrzekła apatycznie, nie długo nic już potrzebować nie będę.

Tego było za nadto, uderzył gwałtownie pięścią w stół, jakby szukając przedmiotu na którymby mógł wywrzeć swą bezsilną wściekłość.

— Dzieci śpią, przerwała mu chłodno żona, czy chcesz je pobudzić by znów jeść wołały?

— I cóż ja mogę więcéj uczynić, mówił dalej, pracuję bez wytchnienia, ale chleb drogi a robota tania. Bądź sprawiedliwą Maryanno, czy sądzisz że i tak zanim tu przyjdę wieczorem, nie mam ochoty uwiązać sobie kamienia u szyi i rzucić się w Wisłę?

W tych słowach dźwięczała prawda, nie była to próżna pogróżka tylko wyznanie pokusy śmiertelnéj...

Było to straszne zwierzenie, jednak kobieta usłyszała je z apatycznym spokojem ludzi, których tak prześladowała rzeczywistość, iż przyzwyczaili się spoglądać oko w oko najokropniejszym widmom wyobraźni.

— Tego by tylko brakowało, szepnęła z gniewem i ty mogłeś to pomyśleć Janie.

— Przebacz mi Maryanno, zawołał wybuchając wreszcie tłumionemi łzami, przebacz mi jestem nikczemnym, ale ja nie mogę patrzeć na wasze cierpienie. Chciałbym otoczyć cię staraniem, dostatkiem, oddałbym krew moją, kropla po kropli, a tu nie mogę nic, nic wcale.

Te gwałtowne wyrazy zdawały się rozbudzać w żonie jakieś odbłyski współczucia, nie mogła wyciągnąć ręki i ścisnąć dłoń jego obejmującą ją rozpacznym ruchem, ale wyrzekła łagodniéj.

— Nieszczęście, nieszczęście, czemużeśmy tutaj wrócili.

Mąż uderzył się ręką w czoło.

— To ja szalony chciałem tego, zawołał, czyż nie powinienem był przewidzieć, że na skarb starca czyhają wszyscy? Dziecko byłoby przewidziało to co się stało, a ja nie potrafiłem tego uczynić.

I zapadł znowu w ponure milczenie.

Oprócz próżnych wymówek i żalów cóż mogli sobie powiedzieć więcéj ci ludzie, nad któremi ciężyła zabójczyni wszystkich uczuć, nędza. Tylko wśród ciemności słychać było westchnienie matki, załamywanie rąk ojca, lub cichy oddech dzieci czasami jęczących przez sen: oboje nie spali dręczeni niepokojem.

— Nie troszcz się Maryanno, wyrzekł wreszcie mąż, Józia kończy robotę, będzie za co przeżyć dzień jutrzejszy, a ja wieczorem odbiorę tygodniową płacę. Kobieta ze zniechęceniem poruszyła głową, wiedziała że zarobek ojca i córki, nie starczył na wyżywienie ich wszystkich, wysilenia ich mogły przedłużyć tylko konanie nic więcéj. On zapewne odgadł ten ruch którego zobaczyć nie mógł, i zrozumiał jej myśli, więc począł jej mówić o nowych nadziejach wzbudzonych przez Hieronima, którym sam niedowierzał. Ci co zawiele cierpieli, przestają ufać nadziei, ona także opuszcza opuszczonych od losu i przyświeca tym tylko, co wśród burzy życia nie stracili odwagi i siły.

Hieronim rozstawszy się z Pliszką przy drzwiach jego mieszkania, powracał zwolna do siebie. Rozmowa z rzemieślnikiem widocznie zaprzątała myśl jego, może nie znał całéj okropności położenia człowieka, co mimo dobréj woli i żelaznych muskułów, nie był w stanie wyżywić swojej rodziny, a jednak gorzkie urywane słowa jego, kazały mu się wiele domyślać i odkrywały mu może głąb tego hardego ducha. Ta wybitna indywidualność przywodziła mu na pamięć miljony cichych egzystencji, upływających w ciągłéj walce, w pracy i opuszczeniu: zastanawiał się nad temi dla których pozostają same uczty w czarze życia, co mają twarde obowiązki, gorzki byt, niepewne jutro, i dzisiaj bez uśmiechu.

Byłto smutny przedmiot rozmyślań dla młodego człowieka w wieczór karnawałowy, ale zdawał się zapominać o tej porze szału. Bez pośpiechu wszedł do pięknego domu przy Miodowej ulicy, w którym na najwyższem piętrze w oficynie, zajmował mały kawalerski pokoik. Pokoik ten purytańskiej skromności, nie nosił wcale śladu nieładu charakteryzującego zwykle męzkie mieszkania. Prosty stół pokryty grubym suknem, założony książkami, łóżko, szafa i kilka stołków stanowiło całe jego umeblowanie. Na stole stała przygotowana lampa, Hieronim zapalił ją, światło padło w pełni na niego ukazując delikatną i energiczną zarazem postać. Miał dziwną twarz na której sprzeczne napozór rysy, łączyły się w doskonałą harmonię. Piękność jego była z tych, co odrazu nie bije w oczy, nie olśniewa i łatwo może ujść oczom powierzchownego badacza, a jednak tyle w niej było łagodnej siły, spokoju i woli, że kto raz wpatrzył się w nią uważnie, musiał pamiętać ją zawsze i doczytywać się ciekawie hieroglifów myśli, wyrytych na tem czole świeżem prawie jak czoło dziecka, pod miękiemi zwojami jasnych włosów.

Oczy jego ciemno siwe, miały coś chłodnego w swym blasku, zdawały się zapatrzone w jakieś światy nieznane, jakby spostrzegały tam kształty i postacie widne dla niego jednego, przecież ciemne powieki były jakby spalone wewnętrznym ogniem, kłóciły się ze spojrzeniem zgubionem w tajemniczych krainach.

Wieku jego trudno było określić, usta poważne nie miały malinowéj barwy młodości, nosił wyraz nieugiętéj woli. Czoło obciążone myślami podnosiło się jednak ku górze, jakby tam szukał urzeczywistnienia marzeń swoich. Wkoło oczów rysowała się sieć drobnych zmarszczek, a pomimo to cała ta głowa miała w ogólnym wyrazie cechę pierwszych bogatych lat wiosny życia. Może przechował on ją w sercu i myśli, może potrafił utrwalić w sobie czyste zachwyty nadziei i wiary tej błogosławionéj pory, i one to piętnowały go tak wyraźnie znamieniem swojem. Jednak profil tej młodej delikatnéj twarzy miał ostre zarysy, nos lekko zgarbiony, doskonale wymodelowany łączył się krótką linją z wierzchnią wargą, i podnosił ją w górę dumnem zagięciem, nadając mu spokojnie wyzywający wyraz. W ogólnym charakterze tej głowy było coś przypominającego, natchnione rysy męczenników, oko jego także ginęło w przestrzeniach jakby w nich czerpało siłę. Znać było że nigdy w obec żadnéj potęgi i żadnéj tortury, człowiek ten nie zaparłby się przekonań swoich, że usta nie przeniewierzyłyby się nigdy myśli. Moralne władze jego zdawały się zabsorbowane zupełnie jakąś ideą, rządzącą nim samowładnie. Znać było że duch ognisty uwięziony w tem ciele, zapanował zupełnie nad materyalną powłoką i uczynił z niéj sobie posłuszne narzędzie: to tłomaczyło namiętny i ascetyczny razem wyraz tej twarzy. Myśli jego gorzały w mózgu, ale nigdy pewno żadne większe marzenie nie zapanowało mu w sercu i nie przywiodło na usta słowa miłości. Dotąd kochał tylko idee, oddawał im życie na pastwę, pracę dnia, sen nocy, rozrywki i rozkosze.

Rozglądając się przez chwilę z widocznem upodobaniem w swoim pokoiku, potem zbliżył się do stołu, gruba księga leżała na nim otworzona, usiadł i zagłębił się w czytaniu. Często czoło jego się marszczyło, często zatrzymywał się i rozmyślał, brał inne książki szukał w nich, robił wyciągi i notaty. Tak mijały godziny, zdawał się tego nie spostrzegać, gdy niespodzianie zapukano do drzwi.

— Kto tam? zapytał niechętnie, nie mogąc oderwać się od pracy swojej.

— Otwórz panie Hieronimie, to ja, Ignaś.

Na to wołanie, młody człowiek powstał z westchnieniem i poszedł ku drzwiom, ale zły humor jego nie mógł się ostać przed samym widokiem nowo przybyłego. Byłto śliczny chłopiec, lat może ośmnastu, twarz jego i cała postać zdawała się żywym wcieleniem wdzięku, ożywienia i wesela tego wieku. Szczupły i giętki jak młoda topola, miał w oczach blask, na ustach uśmiech znamionujący bezmyślne szczęście. Radość życia, pełnia sił młodzieńczych, tryskała mu z lica. Widocznie świat uśmiechał się do niego, jak i on do świata, życie jego musiało dotąd iść po samych różach, bo z pewnością żadna troska nie zaciężyła mu nigdy na białem czole, żadna myśl bolesna nie przyćmiła kryształu tych źrenic, spoglądających wkoło tak pogodnie.

— Niedobry panie Hieronimie, wołał na progu, dla czego nie chciałeś przyjść do nas na wieczór? Myślałeś że ci się to uda, przyszedłeś się wymówić gdy nas w domu nie było, ale zapomniałeś że z naszych okien widać kiedy się u ciebie świeci. Otóż wypatrzyłem i przybiegłem i nie pozwolę ci iść gdzie indziej nie, nie!

— Jak widzisz Ignasiu, odparł z mimowolnym uśmiechem Hieronim, nie wybieram się nigdzie.

Chłopiec spojrzał w około z widocznym zdziwieniem.

— Powiedz mi pan, zawołał po chwili namysłu, jak możesz tak wytrzymać sam jeden w tym pokoiku? Jak o tem pomyślę to mnie dreszcz przechodzi, przecież to karnawał, bawić się trzeba.

Widocznie Ignaś nie domyślał się nawet, że nie dla wszystkich karnawał miał tę ważność co dla niego. Wieczór przepędzony przy pracy zdawał mu się nieszczęściem, grzechem prawie.

— Ależ każdy bawi się po swojemu, wyrzekł spokojnie Hieronim, i tak ja zaręczam ci bawię się wybornie, żeby użyć twojego wyrażenia.

Ignaś zdawał się pobity tym argumentem ale na krótko.

— To pan tak bawić się będziesz jutro i pojutrze, i cały tydzień, a dzisiaj musisz pójść do nas. Ojciec kazał pana bardzo prosić, mama powiedziała mi sama, idź przyprowadź koniecznie pana Hieronima, to

nie zdrowo tak zawsze siedzieć nad książkami, a Helenka czy powiedzieć panu co zrobiła Helenka?

— Rodzice twoi są prawdziwie nazbyt dobrzy dla mnie, przerwał starszy, jakby nierad był tej nieoględnej gadaninie.

Ignaś też zapomniał może co miał powiedzieć o siostrze, bo pochwycił te ostatnie słowa.

— Rodzice moi kochają pana bardzo, i zawsze mi go na wzór stawiają, ale to trudno i ja nigdy takim mądrym jak pan nie zostanę.

Hieronim uśmiechnął się znowu.

— Nie jestem wcale mądrym, odparł zwolna, prawda jednak, że ty Ignasiu za mało pracujesz.

— I cóż ja winien, zawołał młody chłopiec, kiedy jak wezmę się do jakiej książki, to zawsze mi coś przeszkodzi. To hałas zrobi się na ulicy, albo kto przyjdzie do mamy z wizytą, a jak z trzeciego pokoju usłyszę rozmowę, to zaraz ciekawość mnie bierze kto tam jest, albo też przypomnę sobie jaki pilny interes na drugim końcu Warszawy.

— To dowodzi tylko jak bardzo zajęty jesteś czytaniem.

Hieronim wyrzekł te ostatnie słowa poważnie tak, że Ignaś sądził zrazu iż znalazł wszelkie pobłażanie, ale spostrzegłszy ich znaczenie ironiczne rozśmiał się wesoło, pokazując śliczne perłowe zęby.

— Niedobry pan jesteś, zawołał rzucając mu się na szyję, a przecież ja na pańską nudną lekcyę zawsze się doskonale przygotuję, chociaż zaręczam, że mnie to nie bawi. Prawda że i Helenka zawsze mi przypomina i pyta: „A zrobiłeś zadanie dla pana Hieronima? czy pan Hieronim gniewać się nie będzie". Nawet wczoraj nie chciała przesłuchać mojej roli dopóki jej nie pokazałem skończone zadania...

— Nie wiedziałem że panna Helena zajmuje się matematyką, odparł śmiejąc się nauczyciel.

Ignaś chciał coś odpowiedzieć już nawet otwierał usta, gdy jakaś myśl nowa zatrzymała słowa nie wymówione i nastała chwila ciszy.

— No jakże? wyrzekł znów młody chłopiec, ubieraj się pan, ja bez pana nie odejdę.

— Na co ja wam się przydam Ignasiu? Nie tańcuję, nie gram, słowem na każdej zabawie jestem nudnym gościem i próżno tylko miejsce zabieram.

Mówiąc to Hieronim, spoglądał z pewnym smutkiem, na książki rozłożone, na mleczną lampę rzucającą na nie tak miłe światło.

— Pan nigdy nudnym nie jesteś, pochwycił Ignaś z żywością, a potem musisz zobaczyć nasz teatr amatorski, gramy portrety Margrabiny, jak też ja będę wyglądał w roli Frontina, a Helenka w roli Lizetki.

(d. c. n.)

JEDEN ROK

Z DZIEWIĘCIU LAT Z ŻYCIA NA PUSTYNI

(URYWEK)

przez **Ludwika Niemojowskiego**

(Dokończenie.)

Wieczorem zmęczony całodziennemi wycieczkami po łąkach, gajach, rozkosznych dolinach, wyniosłych górach, siadam w oknie mojéj izdebki. Słońce chyli się zwolna ku zachodowi, całodzienny gwar pustyni zaczyna stopniowo uciekać, ostatnie promienie znikającego z widnokręgu dziennego światła otaczają wspaniałą aureolą wierzchołki gór, załamki skał, i odbijają się w nurtach płynącego z dala Jeniseju, nadając jego wodom purpurową barwę. Częstokroć patrząc machinalnie przed siebie przenosiłem się myślą w inne kraje, pod nieba innych sfer, i tworzyłem złudą wyobraźni z podpadających przed oczy przedmiotów, cały obraz wrzącego społeczném życiem świata. W zarysach piętrzących się skał widziałem ogromne miasta, warowne zamki, wspaniałe baszty wież; często bielejące u podnóża gór kamienie, przedstawiały się rozgorączkowanej fantazyi jako mury ludnego grodu, a siniejące obłoki niby kłęby dymu wychodzącego z kominów fabryk i przemysłowych zakładów. W pośród odosobnienia szukałem życia... życia, do którego tęskniłem całem sercem, całą duszą moją; przez długie godziny zaludniałem pustynię utworami własnéj wyobraźni, wywoływałem z czczości fantastyczne obrazy ubiegłych wspomnień... Próżne usiłowania! przyszła chwila w któréj rzeczywistość rozwiała mary mojej iluzyi, tak jak silny syberyjski wicher rozwiewa płączące się po powietrzu mgły ziemnych wyziewów. A gdy zagłębiłem się w dumaniu, gdy sięgnąłem myślą po za te przestrzenie które wzrok mój obejmował, wzdrygnąłem się cały. To kipiące dokoła mnie życie, te zieleniejące się smugi łąk, te pasma gór niknących w oddaleniu, ten obszar step z garstką zamieszkujących go ludzi, to tylko atom życia rzucony wśród pustyni. Kilkadziesiąt wiorst daléj nie ma nic.

Nic!.. okropny wyraz.

Tam jest przestrzeń niezmierna, pusta, tysiące wiorst rozległości, któréj myśl nie jest w stanie objąć, bez wsi, wiosek, domów, ludzi; one tak istnieją w ciszy i spokoju od niepamiętnych czasów, one tak pozostaną przez długie lata, wieki, a może nazawsze. Garstka ludzi, która mnie otacza jest atomem w pośród tych przestrzeni bez końca, a ja jednostką w pośród téj garstki.

Czytałem przed laty jakąś fantastyczną powieść o człowieku, który żył sam jeden na niezaludnionym planecie. Cierpienia jego były straszne, a autor znający tajniki serca ludzkiego, malował w przerażających kolorach początkowe jego myśli, wrażenia a potem czarną rozpacz i obłęd zwątpienia. Porównywałem się do tego człowieka, studjowałem jego boleść, anatomizowałem uczucia, rozbierałem każdą łzę którą nadmiar katuszy wyciskał z jego oczów, i czułem jakieś dzikie, niepojęte zadowolenie drażniąc rany rozbolałego serca.

I tak mijały dnie, tygodnie; umiarkowane ciepło wiosny przemieniło się w straszne upały, ożywcze przed chwilą promienie słońca, padając ognistemi snopy na przywykłą do tych nagłych zmian klimatu ziemię, paliło wszystko swym piekielnym żarem. Powietrze zdało się być wulkaniczną miazmą, woda rozpaloną lawą, a światło płomieniem. Ani jednéj chmurki na widokręgu, ani przelotnego powiewu wietrzyka, ani orzeźwiającéj kropli rosy; ptastwo odbiegło w najniedostępniejsze gęstwiny lasów, zwierzęta harcujące nie dawno po stepach, poukrywały się w norach ziemi lub jaskiniach, drobne nawet muszki opadły bezsilnie i szukały w zwojach bujnéj trawy przytułku przed ogniem podbiegunowego lata.

Było wszędzie cicho, duszno i jasno...

Wieczorem gdy słońce zniżające się ku zachodowi, rzucało nie tyle już palące promienie, ze wszystkich stron niby prądami wiatru podniesione chmury, roiły się tysiące, miljony, nieznanych w Europie owadów. Natura, którą nazywamy matką naszą, stała się pod tym stopniem szerokości geograficznéj prawdziwą macochą; w zimie tamuje ona wszelki objaw życia i czucia swym chłodnym, lodowatym uściskiem, w lecie skąpi nawet powietrza do oddychania, zarażając je nieprzeliczonemi myryadami złowrogich istot: jedynym jéj uśmiechem są te kilka tygodni wiosny, ale owa krótkotrwała pieszczota, zważywszy na następujące po niéj cierpienia, nie może przedstawiać się inaczéj jak tylko okropnem i srogiem szyderstwem.

Wyjątkową chwilą dającą wśród lata ulgę tem bezprzestannem dolegliwościom, jest noc. Zapada ona zarówno szybko jak niespodziewanie. Nie znane tu są owe półcienie zmroku, stopniujące przechód światła do bezwarunkowéj ciemności. Zaledwie słońce zniknęło z widokręgu, już jéj opona niby śmiertelny całun rzucony nagle na zwłoki zmarłego, okrywa nieprzejrzanym kirem świat cały; okrywa zwątlone całodziennym upałem siły potrzebujące spoczynku, a jednakże żądza odetchnięcia odświeżoną atmosferą nocy, przerywa znużenie i wstrzymuje sen klejący powieki.

Siedząc przy otwartem okienku, wciągam w siebie balsamiczne wyziewy, i poję się tą jedyną chwilą lata, w któréj miasto ognia zachwycić można pełną piersią czyste i zdrowe powietrze. W pośród mroków nocnych, błyskają tu i owdzie małe światełka, rosną, rozszerzają się, wznoszą, a fale ognia zalewają góry, wzgórza, i dalekie step przestrzenie. To rolnicy syberyjscy zapalili łąki (*). Wspaniały i przerażający widok! Ze wszystkich stron gdzie tylko wzrok dosięgnąć może, buchają jaskrawe płomienie, oświetlając ponurym swym blaskiem cały widokrąg. Ta iluminacya stepu ma w sobie coś wielkiego i tajemniczego zarazem. Wśród pustych prawie niezamieszkałych obszarów, niszczący żywioł skrytą podburzany ręką, tworzy cudowne efekta świateł i cieni: u dołu płynie zwolna gorejąca rzeka, tryskając na wszystkie strony strumieniami, po nad tem morzem płomiennych fal wznoszą się snopy iskier i kolumny blasków. Każdy krzak, każde drzewo spotkane po drodze przez ogniste potoki, zmienia się w olbrzymią pochodnię i pożar szumi, błyszczy, wzrasta, aż nakoniec nieznalazłszy materyałów do niszczenia gaśnie nagle, a czarna pomroka nocy ogarnia świat cały. Świadkami tego fantastycznego widowiska są tylko poczwary leśne, lub chmary ptastwa chroniącego się przed niezrozumiałym dla nich objawem; człowiek stepowy za nadto wiele ma wtedy do czynienia, ażeby pragnął śledzić postępy ognia pustyni.

Pora letnia trwa nie długo. Przyroda tych stron jak gdyby zgadując krótkość bytu organicznego życia działa nagle, z pośpiechem, gorączkowo. Zaledwie ostatnie śniegi znikły z powierzchni ziemi, już rzucone ziarno zieleni trawę, rośnie, żółknie, dojrzewa i plon wydaje. Rolnik pragnąc zebrać zapasy na zimę, winien pracować bez przerwy, nieustannie; odpoczywać jemu nie wolno. Trzy miesiące ciężkich znojów, wycieńczających siły trudów, i dziewięć miesięcy bezmyślnego zasklepienia się w pośród ciasnych ścian ciemnéj izdebki — oto jest życie stepowca!

(*) W ciągu lata włościanie syberyjscy zapalają niewykoszone łąki dla zapewnienia sobie na przyszłość obfitych zbiorów siana. Zgubny ten obyczaj na który każdy narzeka, którego nie mogą zatamować żadne rozporządzenia władz, jest powodem licznych wypadków. Morze płonące ogarniającemu wyschnięte posuchą łodygi traw płynie jakby ognista rzeka obejmując wszystko co spotka po drodze. Tak gorają płoty ogradzające pastwiska bydła od łąk (poskotiny) tak gorają nietknięte jeszcze siekierą przechodnia krzaki, lub znajdujące się po polach sterty zbóż i siana, tak częstokroć stają się łupem niszczącego żywiołu całe wsie i osady. Nader trudnem jest i prawie niepodobnem zadaniem pojmać na uczynku winowajcę, zapalenie wreszcie łąk następuje zwykle za zgodą i wiadomością całéj gminy, a wykonawcą woli gromady staje się zwykle mały błądzący za stadem po stepach pastuszek, lub nawet kilkoletnie dziecko.

(Przyp. aut.)

W osadzie pusto. Dwóch czy trzech starców pozostałych dla pilnowania dobytku, wygrzewa się leniwie przed progami chat, szepcąc z cicha staroświeckim stylem ułożone pacierze. Czasem z głębi stepowych obszarów przybywa który z koczujących tam mieszkańców i zabrawszy na prędce zapasy żywności, oddala się nie wymieniając z nikim słowa. Czasami mały pastuszek ·pasąc stada owiec po przyległych górach, zagra smętną piosenkę na wierzbowej fujarce. To chwilowe pojawienie się rolnika w domowéj zagrodzie, ten oddalony dźwięk sielskiéj muzyki przypominający inne szczęśliwe czasy, przywodzący na myśl drogie sercu wspomnienia, są jedynemi wypadkami przerywającemi jednostajność osamotnionego życia.

Bywają dnie w których jasny widokrąg niebios po.rywa się czarnemi chmurami, grom huczy, wicher wyje, w których zdaje się, że wszystkie żywioły wystąpiły do walki pomiędzy sobą. W takich dniach lżéj mi na sercu. Niemy świadek tych zapasów, porównywam spokój mego życia do burzy dzikich namiętności wstrząsających byt społeczny, i czuję, że ta cisza mojéj pustelni lepszą jest od wiru szalejącego świata. Spokój nie jest szczęściem, nie jest nawet zapomnieniem, ale wyradza pewien rodzaj moralnego odrętwienia przytępiającego boleść niezagojonych jeszcze ran... Kto wiele przecierpiał, kto został zdradzonym w najświętszych uczuciach, kogo zaufana ręka odarła ze wszystkich illuzii i popchnęła na brzeg przepaści, kto ginąc, w miejsce współczucia usłyszał po za sobą śmiech szyderski, ten nigdy już nie zdoła odzyskać dawnéj swobody ducha, ale może złagodzić wewnętrzne katusze bezwzględnym spokojem samotności; są męczarnie na usunięcie których medycyna nie posiada żadnych środków, a jednak samém uśmierzeniem boleści przedłuża konanie.

Tymczasem samowładna pani stref podbiegunowych, zima, w swojéj skrystalizowanéj mrozem koronie, śnieżystym płaszczu, z aureolą zórz północnych po nad skronią, przybliża się szybkiemi kroki dla owładnięcia królestwa, które na krótko opuściła. Jéj skrzypiący przymrozkami chód słychać z daleka, jéj zimny oddech czuć się daje w zamrożonych miazmach powietrza, jéj posępne oblicze odbija się w gromadzących na widokręgu chmurach. Dnie zaczynają być coraz krótsze, noce coraz wcześniéj zapadają, wiatr jesienny złowieszczy goniec władczyni północy, świszczy przeraźliwie; ptastwo odbiegło, zwierzęta się pochowały, garstka ludzi pomiędzy któremi przeznaczenie żyć mi kazało oddawna powróciła ze step, i przycichła w swych legowiskach. Wszędzie głucho, ciemno, straszno...

W owym czasie dziwnem zrządzeniem losu, jak gdyby dla wypróbowania sił moich moralnych, zabłysł przed odrętwiałym stepowem osamotnieniem umysłem, objaw rzeczywistego życia. Przedemną zjawił się człowiek w pełnym rozwoju towarzyskich przymiotów, gorących uczuć—z myślą rwącą się naprzód, z sercem szukającém sympatyi i spółczucia. Nie był to automat—starowierca zastygły w bezwładności i mechanicznéj modlitwie, nie był to włościanin syberyjski ze zwierzęconemi nadużyciem wódki pojęciami, ale dawny znajomy, towarzysz lat młodości, który udając się na południe, zabłądził przypadkiem w tę odłączoną od reszty świata pustynię.

Pana *** znałem jeszcze w kraju. Od najpierwszych lat młodości odznaczał się on niezwykłą ruchliwością. Życie uważał za olbrzymi warsztat, przerabiający bez ustanku surowe materjały myśli na bogate wartością produkta czynu. Spokoju nie pojmował, odpoczynku nie pochwalał, stagnacją się brzydził. Był jak ów przywykły do nieustannego hałasu właściciel foluszu, który puszcza w ruch maszyny nawet i wtedy, gdy zabrakło zasobów do przeróbki, aby tylko harkotem kół oszukać przymusową bezczynność. Poznawszy szczegóły mego życia nie mógł wyjść z zadziwienia: nie rozumiał ażeby człowiek chciał kiedykolwiek dobrowolnie skazać się na podobną samotność.

— „Ależ to śmierć moralna!" zawołał przerażony.

— „Nie kochany przyjacielu," rzekłem łagodnie biorąc go za rękę; „śmierć moralna jest tam tylko gdzie ustaje praca myśli, kto żyje w sobie ten nie umiera. Świat wewnętrzny, świat dumań, wspomnień i nadziei świetnym jest i wspaniałym, a horyzont jego nie ma krańców. W tym świecie idealnym żaden fałszywy akord złości ludzkiéj, podłości, przeniewierzenia się, niezamąci ogólnéj harmonii piękna. Patrz! dodałem wskazując na oswojonych ptaszków świergocących wśród izby, na wiernego psa czołgającego się u nóg moich: to są prawdziwi przyjaciele, oni nie odpłacą złem za dobre, nie zdradzą, nie wyśmieją, nie ukąszą ręki która im codzienną podaje strawę... Dni moje upływają cicho, jednostajnie, ale bez goryczy i wstrząśnień moralnych. To co było wczoraj jest dzisiaj; co jest dzisiaj będzie jutro. Nie znam upokorzeń i odczarowań, nie walczę z uprzedzeniami i nienawiścią; przeszłość jest mi nauką, teraźniejszość pokutą, a przyszłość nadzieją.

— „A gdy przyjdzie chwila, w któréj to wszystko co cię teraz zajmuje stanie się ohydném i wstrętném, gdy przyjdzie chwila w któréj czarna rozpacz wpije się jako wąż zjadliwy do twego serca, uczepi kamieniem u szyi, złamie moc sztuczną i powali bezwładnego na ziemię—któż cię wtedy podtrzyma, pocieszy, uleczy? Czyliż uczynią to automaty, w których oprócz kształtu nie ma nic człowieczego? Czyliż uczynią to zwierzęta umiejące tylko łasić się i szczebiotać? Bez przyjaciela, bez towarzysza, bez żadnéj życzliwéj istoty, zginiesz w téj pustyni. Obejrzyj się na próżnię która cię otacza, zastanów nad twojem opuszczeniem i powiedz, jestże taki któryby cię w podobnéj ostateczności uratować zdołał?

— „Jest!" odpowiedziałem.

Pan *** spojrzał na mnie z zadziwieniem,

— „Któż?" zapytał.

— „Kto? ten który był zawsze ojcem sierotom, przewodnikiem zbłąkanych, pocieszycielem nędzarzy—ten który w najsroższych cierpieniach życia osusza łzy boleści, zamienia męczarnie rozpaczy w spokój ufności i nadziei.

Towarzysz moich lat dziecinnych nie wyrzekł ani jednego słowa, tylko westchnął i opuścił smutnie głowę na piersi.

On pomimo sztucznéj wesołości i powierzchownego zaufania w siłę swego charakteru, stokroć razy godniejszym był politowania ode mnie.

Nieszczęśliwy.... nie wierzył!

FAYUM, SINAÏ I PETRA

PODRÓŻ DO ŚRODKOWEGO EGIPTU I ARABJI SKALISTEJ

ODBYTA PRZEZ

SŁYNNEGO ARTYSTĘ MALARZA GÉROME

ORAZ

JEGO TOWARZYSZY I UCZNIÓW

STRESZCZONA

przez **Joannę Belejowską**.

(*Dokończenie*).

II

Nadszedł nareszcie gorąco upragniony dzień odjazdu: choć namioty nasze nie dobrze jeszcze wyschły, jednak zaraz z błyśnięciem poranku zostały zwinięte i upakowane na grzbietach wielbłądów, a drogman tak porozkładał pakunki, aby nam jak najłatwiéj było strzedz ich, a nawet i bronić w potrzebie.

Zawarliśmy umowę z wielkim szeikiem Nossar'em, mocą któréj miał wyprowadzić nas z miasta i towarzyszyć przez otaczające je wąwozy, aby nas bronić od chmary wlekących się za nami Beduinów, którzy inaczej mogliby urządzić zasadzkę i obedrzeć nas ze wszystkiego. W saméj chwili odjazdu szeik nie chciał jechać z nami pod pozorem, że koń jego znajduje się gdzieś bardzo daleko; po surowem napomnieniu przez naszego mistrza, namyślił się nareszcie, ale tak on jak towarzyszący mu mniejsi szeikowie, okazywali dla nas nie zbyt przychylne usposobienie. Długo nie mogliśmy dojść co było tego powodem, gdyż częstowaliśmy ich hojnie i dostali duży *bakszis*, nareszcie dowiedzieliśmy się, iż właśnie ten bakszis wydał im się za małym od podróżników, co przybyli do Akabala na tak pysznych dromaderach wice—króla. Rabusie ci, z wierzchowców wnoszą o dostojeństwie i bogactwie podróżników, a że jechaliśmy tak długo na rządowych dromaderach, uznali za stosowne żądać za ten honor dodatkowego bakszysu.

Wielcy i mali szeikowie, pasterze i Beduini wszelkich stopni, uporczywie domagali się pieniędzy; otaczali gromadnie każdego z naszych wielbłądów, widocznie z zamiarem zatrzymania ich w danéj chwili. Na skinienie któregokolwiek szeika mogli zagrodzić nam drogę i gdybyśmy najwięcej bohatersko się bronili, żaden z nas nie uszedłby z życiem.

Choć fuzye ich nie wiele były warte a szable poszczerbione, jednak łotry te mogli z łatwością zabić naszego drogmana a wtedy bylibyśmy w bardzo rozpaczliwem położeniu zostawieni sami sobie, bez przewodnika w wąwozach najeżonych przepaścistemi otchłaniami; rzecz prosta że w nierównéj walce z miejscowemi rabusiami, wszystkie korzyści byłyby po ich stronie.

Po za nami straszna srożyła się burza i co chwila mogła wybuchnąć po nad naszemi głowami. W tem Nossar, szeik z Petra, zeskoczył z konia i z włócznią w ręku poskoczył ku Géromowi, pokazując na migi że chce jeszcze pieniędzy; mistrz nasz z najzimniejszą krwią włożył rękę do kieszeni, wyjął nosigrosz, i wytrząsając wszystkie kieszonki pokazał mu, że są zupełnie puste. Szeik osłupiał, wszystko przewidział prócz tego; stanął jak wryty, nie wiedząc co począć.

Mistrz nasz zdjął z siebie płaszcz i rzucił go szeikowi: to go dobiło.

Oprzytomniawszy pobiegł do swoich przyjaciół i braci, którzy przyjęli go bardzo niegrzecznie, uważając że się nader niedołężnie wywiązał z danego polecenia. Widać uważali go za przedajnego zdrajcę czego dowodem były głośne krzyki oburzenia i zgrozy, dochodzące aż do nas z jego głównego sztabu. Położenie nasze stawało się groźne. Dojechaliśmy właśnie do ostatnich krańców granicy pokolenia z Petra, tu gromadki symetrycznie ułożonych kamieni, kładły kres władzy szeika; złodziejska banda obłudnie pożegnała się z nami, gdy w tem dwóch z jej grona którzy wyprzedzili nas nieznacznie, z dzidami w ręku zastąpili nam drogę, a jeden własny siostrzeniec szeika Nossara, odrzucając płaszcz pochwycił ogromny pistolet, i lufę jego skierował do piersi naszego drogmana. Przerażony Arab nie zdążył jeszcze wydobyć pałasza, gdy trzech z nas wymierzyło rewolwery swoje ku napastnikowi.

Chwila była stanowcza, jeden krok zbyt porywczy mógł stać się przyczyną naszej zguby. Młody Beduin zrozumiał widać grożące mu niebezpieczeństwo, bo spuścił pistolet i uciekł galopem. Umiarkowanie nas ocaliło; gdyby którykolwiek z nas wiedziony chęcią zemsty wystrzelił do rabusia, strzał ten byłby się stał hasłem ogólnej napaści, w której, pomimo naszej doskonałej broni, musielibyśmy uledz tak znacznie przewyższającej liczbie.

Oswobodzeni od rabusiów, w dalszą puściliśmy się drogę, wymyślając co się zmieści na tych nienasyconych łotrów. O! gdyby nie te ich niedostępne góry i wąwozy, żartowalibyśmy sobie z całej ich bandy, ale w takiej miejscowości, mogli niewidzialni i niedostępni strzałom, pozabijać nas wszystkich kamieniami rzucanemi z za skał.

W gniewie jako młodzi układaliśmy projekta, aby powrócić tu kiedy w znacznej liczbie, i wystrzelać co do jednego to złodziejskie plemię.

Lecz już i przed nami niejednokrotnie kuszono się o to, ale ilekroć zgromadzono większe siły, rabusie znikali bez śladu, powracając dopiero wtedy, gdy śledzący ich oddalili się znudzeni bezowocnem poszukiwaniem.

Jednak za czasów Ibrahima—Paszy, odebrali surową nauczkę, która na czas jakiś uczyniła ich względniejszymi dla podróżnych i karawan ciągnących do Mekki, które nie raz rabowali, widać z nabożeństwa.

Przez kilka godzin ciągle mieliśmy się na baczności, przyśpieszaliśmy pochód o ile możności nie spuszczając oka z pakunków. Nareszcie droga poprawiła się nieco, znać było iż zbliżamy się do równiny, gdzie już nie potrzebowaliśmy obawiać się napaści.

Nareszcie wjechaliśmy na *Wadi—Arabah*, które współcześnie z innemi wadi w ogóle krętemi i wązkiemi, jest dość szerokie i równe. Rosnące na tej równinie krzewy i krzaki, odznaczają się dziwnym kształtem swych węzłowatych gałęzi. Rozłożyliśmy się tu obozem; w pobliżu leżały trzy źródła bardzo mętnej wody, które Arabowie i wielbłądy nasze powitały z radością; my nie mogąc pić takiéj wody, pocieszaliśmy się winem.

Na tych piaszczystych wybrzeżach, pokrytych dość bujną roślinnością, widzieliśmy wyraźnie liczne przebiegające gromady gazelli, żartujące sobie wyraźnie z szybkości naszych wierzchowców, dromaderów i z donośności naszych strzałów.

Opuściwszy *Wadi—Arabah*, spotkaliśmy na drodze małą karawanę, złożoną z trzech ludzi i z osła. Na ośle jechał stary Syryjczyk, kupiec z Damaszku, który sam jeden odbył podróż w okolice Petra, do pewnego pokolenia, które zaopatrywał w towary niezbędnie mu potrzebne,—i dla tego mógł jechać bezpiecznie, gdyż tak szeikowie jak okoliczne pokolenia potrzebując go, ułatwiały mu przejście. Zdaje się że z handlu tego ciągnął znaczne korzyści, gdyż rabusie płacili mu hojnie, pieniędzmi wyłudzonemi lub skradzionemi podróżnym i karawanom.

Drugim podróżnym był Arab zapomniany w drodze przez karawanę ciągnącą do Meki. Usnął kiedy zatrzymano się dla wypoczynku, a gdy przebudził się karawana była już daleko; udało mu się odszukać drogę żyjąc jedynie liśćmi i korzeniami.

Trzeci wędrowiec był to prawdziwy dziki. Całkiem nagi, miał w ręku ogromną maczugę, i kosmyk włosów pozostawiony na czubku głowy; podziwialiśmy nieustający wyraz zadowolnienia, jakby przykuty do jego dziwacznéj twarzy.

Chcąc się ubezpieczyć od napaści Beduinów, wędrowcy ci prosili abyśmy im pozwolili przyłączyć się do naszego orszaku; zgodziliśmy się chętnie, była to niespodziewana rozrywka. Ja zaprzyjaźniłem się bardzo z owym gorylem, pozwalał mi dotykać się swojéj maczugi, i wykrzywialiśmy się na siebie wzajemnie, co było oznaką dozgonnéj przyjaźni.

Idąc boso po piekącym piasku, biegał na prawo i na lewo, zrywając liście które podawał memu wielbłądowi—było to wszystko co mógł zrobić dla mnie; —to też oceniając te jego dobre chęci i ciekawy co z nim zrobi, dałem im *biszlik* wielką sztukę monety arabskiéj małéj bardzo wartości. Te moje dobre chęci, może straszne spowodowały następstwa. Zaledwie dziki pochwycił monetę, zrobił wielkie oczy, potem obejrzawszy się czy go kto nie ściga, pobiegł co miał tchu i znikł gdzieś w pustyni. Kupiec Syryjczyk powiedział nam, iż uciekł z obawy aby mu kto nie wydarł jego skarbu, a nie znając drogi, pewnie umrze z głodu w jakiéj norze.

Przeklęte pieniądze! nawet wśród niezmierzonéj puszczy mogą się stać przyczyną śmierci człowieka. A ja chciałem go uszczęśliwić!...

Bezpieczni od napaści Beduinów, mogliśmy rozglądać się spokojnem okiem w niezmierzonej panoramie roztaczającej się przed nami. Z wysokości na której znajdowyliśmy się ukazywała nam się Wadi—Arabah w całej swej długości, a po za nii olbrzymie massy gór Petra nad któremi góruje Hor; na prawo rozciągała się biała linja piasków pustyni *Tih*, na lewo łańcuch *Ghor'u* ciągnący się aż do wybrzeży Morza martwego.

Był to ostatni krajobraz pustyni Arabii skalistej; za chwile mieliśmy rozstać się z niegościnnemi kamieniami zaścielającemi drogi, i na inne wstąpić ziemie...

Jakoż opuszczając równinę, znaleźliśmy się zaraz na zieleniejącej łące; tu i owdzie widniały podobizny bruzd i *fac—simile* uprawy. Drzew było mało, ale za to niepojęta obfitość polnego kwiecia. Ta nadspodziewanie bogata roślinność, nawet w wielbłądach naszych budziła podziw i niedowierzanie: wahały się czy mają jej pokosztować.

Trawy i rośliny tak były wysokie, iż wielbłądom sięgały do piersi. Przez kilka kilometrów posuwaliśmy się jakby płynąc na oceanie kwiecia: maki, bławatki, stokrotki i dzwonki wszelkich odcieni, pochylały swe piękne główki, jakby witając starych znajomych.

Grunt był dobry, roślinność bujna i bogata, ale za to temperatura wiele zostawiała do życzenia, gdyż niebawem zaczął nam dokuczać wiatr lodowaty i wilgotny.

Na tem morzu pastwisk pasły się niezliczone stada kóz i czarnych baranków, wyglądające zdala jak małe ruchome wysepki. Zazwyczaj dziecko jakieś i pies mu towarzyszący, były jedynemi stróżami tych trzód olbrzymich, których beczenie rozlegało się w oddali, jakby szmer postępującego wojska.

Nareszcie góry Syrii ukazały nam swe dumne szczyty: jeszcze dni kilka, w Hebronie dostaniemy chleba i świeżej wody, a w Jerozolimie zastaniemy listy z kraju.

Od dwóch miesięcy nie mieliśmy żadnéj wiadomości od swoich, łatwo pojąć z jakiem oczekiwaliśmy jej upragnieniem. Ten niepokój nie dozwalał nam dość ocenić niezwykłej piękności tych okolic.

Tuż pod wzgórzami umajonemi zielonością po któréj biegały niezliczone trzody, właściciele ich pourządzali swe namioty. Tysiące tych namiotów stykających się z sobą, wygląda zdaleka jak morze pokryte nieruchomemi prawie bałwanami; wszystkie są wyrabiane z jakiegoś brunatnego materjału w czarne pasy, co nadaje im jakąś dziką cechę, i tylko szczekanie psa lub gdzieniegdzie migające ogniej dają znać o ich istnieniu. I tutejsi Arabowie przechowują troskliwie tradycyonalną sztukę kradzieży, rabowania i obdzierania podróżnych.

Szeik Mak-Boul mający przeprowadzić nas do Hebronu, sam przestrzegał abyśmy się mieli na ostrożności, i pojedynczo nie oddalali zbytecznie od namiotów, gdyż napotkani pasterze, mimo swych niewinnych minek, mogliby nas zrabować, a w razie oporu nawet życia pozbawić.

O! piękny kraju o kwiecistych wzgórzach i łąkach, do zupełnéj doskonałości brakuje ci tylko..... żandarmów.

Zbliżał się dzień w którym nareszcie mieliśmy zobaczyć prawdziwe miasto i prawdziwych mieszkańców—a tak długo byliśmy pozbawieni podobnego widoku.

Przed nami rozwijała się cudna panorama przedstawiająca nam całą prawie Judeę. Na prawo morze martwe, nieco daléj góry Gorh ginące na horyzoncie po za Jordanem; wprost przed nami dolina Hebronu i jej prześliczne ogrody, zawieszone na sztucznych tarasach.

Tu już roślinność przybierała postać poważniejszą i weselszą zarazem. Drzewa rosły regularniej, winna latorośl starannie była obcinana, pola dobrze utrzymane, wszystko to zapowiadało nam że spotkamy się z ludźmi, którzy nie powitają nas z nożem lub z pistoletem w ręku.

W pobliżu miasta spotkaliśmy wieśniaka uprawiającego rolę pod zasiew, spoglądaliśmy na niego prawie z rozrzewnieniem; od czasu opuszczenia *Medinet-Fayum*, jego dopiero piérwszego ujrzeliśmy zajętego pracą rolną. Gdyby od nas zależało chętnie przyznalibyśmy mu nagrodę Monthyon, że pracował tak ochoczo, zamiast kraść i rabować jak jego współziomkowie.

Niecierpliwość nasza wzrastała w miarę zbliżania się do celu, uderzaliśmy rękami nasze wielbłądy, aby je zachęcić do prędszego biegu. Biedne zwierzęta nie mogły pojąć tego napadu niecierpliwości

Hebron! Hebron! Hebron! krzyknęliśmy nareszcie jednogłośnie, postrzegając mury pierwszych domów miasta. Krzysztof Kolumb nie uczuł pewnie większéj radości na widok ziemi.

Byliśmy więc nareszcie w Syryi.

Czyli mieliśmy nakoniec spocząć na prawdziwych łóżkach, pić świeżą wodę, jeść świeży chleb, odbierać gazety, listy i wiadomości nie starsze nad dwa miesiące, co miało nam wynagrodzić mętną i nadtęchłą wodę, stary chleb, spaloną baraninę, owady, skorpiony, a nadewszystko współbraci i przyjaciół Beduinów, przedstawicieli strasznéj zmory, noszącéj miano Petry.

Wkrótce ujrzemy Jerozolimę, Betleem, Nazaret i Damaszek, ten Wschód prawie smutny, nie tak świetny, nie tak malowniczy, ale za to spokojniejszy i poetyczniejszy zarazem, gdzie umysł stokroć więcéj korzysta, a serce zbiera niespożyte skarby wspomnień i pamiątek.

KONIEC.

Przegląd literacki.

Człowiek i Małpa. Ostatnie słowo Darwina przez Dra. Stefana Pawlickiego Lwów 1872.

W ostatnich czasach teorya Darwina o przemianie gatunków i o pochodzeniu człowieka, narobiła wiele wrzawy i dotychczas zaprząta uczonych. Wiadomo że wielki ten uczony, na zasadzie skrzętnie zebranych danych i własnych doświadczeń w dziedzinie nauk przyrodzonych, przypuszcza że wszystkie gatunki tworów żyjących powstały przez stopniową ewolucyę z jednéj najprostszéj formy, a to za pomocą rozmaitych zmian ustalonych i urobionych pod wpływem tysiąca warunków, połączonych przez Darwina w jednem pojęciu naturalnego wyboru, austalonych dziedzicznością i walką o byt. Tym sposobem Darwin występuje, jako stanowczy przeciwnik teoryi nieruchomości gatunków, raz na zawsze stworzonych, a stosując tę samą teoryę i do najdoskonalszego z tworów ziemskich—człowieka, wypowiada przekonanie, że człowiek, wspólną ze wszystkiemi zwierzętami drogą, powstał z zaginionego jakiegoś gatunku małpy. Tem samem teorya Darwina przeciwną jest teoryi polygenistów, którzy nie chcą widzieć jedności w bardzo od siebie różnych rasach ludzkich, choć z drugiéj strony, darwinizm nie przypuszcza możliwości pochodzenia rodu ludzkiego od jednéj pary w jednéj miejscowości, ale przypuszcza, że rozmaite rasy ludzkie rozwinęły się jednocześnie na różnych punktach ziemi, pod wpływem odmiennych warunków bytu i otaczających danych. Takie są główne zasady darwinizmu. Sumienni jednak stronnicy téj teoryi przyznają sami, że jest ona dotychczas tylko hypotezą, może świetną i genjalną, może jedyną odpowiednią dotychczasowym wynikom badań przyrodniczych i jedyną dziś w nauce możliwą, ale daleko jéj jeszcze do stanowczych i niezbitych argumentów. Doświadczenia w dziedzinie królestw natury, w obecnym ich stanie, również jak świadectwa geologii i paleontologii, nie stwierdzają jeszcze ostatecznie hypotezy Darwina, nie zdołają wykazać całego szeregu form przejściowych i niewątpliwéj stopniowéj ewolucji. Rzecz naturalna, że ta teorya, któréj początków należy szukać jeszcze bodaj u Anaksymandra, a nawet u Arystotelesa, źle przyjętą została przez teologów, jako wbrew przeciwna dosłownemu świadectwu ksiąg Mojżeszowych, a jeszcze większe niemal oburzenie wywołała u obrońców wyjątkowego stanowiska człowieka, jako „króla wszystkich tworów ziemskich" nieskończenie wyższego, ciałem i duchem, od wszystkiego, co żyje na ziemi. Bezstronność każe wyznać, że oburzenie to grzeszy niekiedy krańcową przesadą: wyższość duchowa człowieka nie była nigdy zaprzeczaną, nie zaprzecza jéj i Darwin; co więcej, teorya jego w gruncie rzeczy, nie może mieć pretensyi do wyjaśnienia téj wyższości, a że człowiek pod względem budowy ciała, jest zwierzęciem pokrewnem innym zwierzętom, pewnik to, o którym oddawna wiedziano. Teorya darwinizmu, jako czasowe stadyum w rozwoju nauk przyrodzonych, stadyum, prowadzące może do nowych wielkich odkryć na tem polu, powinnaby korzystać z najwyrozumialszej tolerancyi, a że niektórzy jéj zwolennicy unoszą się krańcowością i wnoszą w sferę nauki matkę przesady, namiętne uniesienie, rzecz to zrozumiała, bo ludzka—objaw powtarzający się przy każdéj nowej teoryi i dający się wytłómaczyć psychologicznie.

Duch ludzki, w dążeniu swém do zupełności wiedzy, niecierpliwi się niekiedy zbyteczném rozproszeniem rozmaitych gałęzi wiedzy, szuka powszechnego klucza do rozwiązania zagadnień życia, i dla tego w pewnych chwilach skłonnym jest przywiązywać zbyteczną wagę i ogólną, częstokroć właściwy zakres przekraczającą, wartość do nowéj teoryi. Jednakże, z takiego namiętnego uniesienia i skłonności przekraczania właściwego zakresu pewnéj nauki, wyradza się niekiedy szkodliwy kierunek, jak to właśnie i z teoryą Darwina ma miejsce. Niektórzy zbyt jednostronni jéj zwolennicy, robią z hypotezy czysto zoologicznéj teoryę moralną i historyczną, a zapominając o innych, wznioślejszych podstawach i pobudkach rozwoju ludzkości, pomijając wyłącznie człowiekowi właściwe prawa i objawy i dążności duchowe, skwapliwie korzystają z włączenia człowieka do szeregu zwierząt, i szukają w normach zwierzęcego życia norm ludzkiéj działalności. Do czego podobna jednostronność może doprowadzić—nie ma potrzeby zbytecznie się rozszerzać: pojęcia moralności, prawa i miłości bliźniego nie mogłyby się ostać w obec teoryi, uważającéj człowieka *tylko* jako zwierzę, a usprawiedliwienie, w zastosowaniu do ludzi, *walki o byt* w najgrubszém, pomiędzy zwierzętami spostrzeganém znaczeniu, doprowadziłoby do bardzo smutnych i poniżających wniosków w historyi ludzkości, bynajmniéj nie pocieszających w praktyczném życiu pojedynczych indywiduów i narodów. *Bellum omnium contra omnes*—zasada zformułowana jeszcze w XVII wieku przez pessymistę raczéj niż obrońcę téj zasady Hobbésa, należy uważać jako aberracyę ludzkości, jako często, bodaj nawet przeważnie panujące *malum neccessarium*, ale natura ludzka, kierująca się wyższymi instynktami, i należyte zrozumienie dążności, objawiającéj się w historyi, nie dozwalają robić z téj smutnéj zasady, normy prawidłowéj.

Takie nadużycia Darwinistów raczéj niż samego Darwina mnożą przeciwników jego teoryi: w szeregach tych przeciwników, oprócz kolegów i obrońców wyjątkowości stanowiska człowieka, z koniecznością stają jeszcze i psychologowie i historycy i wszyscy ludzie myślący, dla których drogim jest postęp ludzkości.

Pan Pawlicki, w dziełku o którém mamy mówić, występuje przeciwko Darwinizmowi przeważnie jako teolog i filozof, obeznany jednak dostatecznie z wynikami nauk przyrodzonych. Książka dzieli się na dwie połowy, z których pierwsza rozbiera kwestyę stałości i zmienności rodzajów, a druga zajmuje się pokrewieństwem człowieka z małpą i możliwością pochodzenia jego od téj ostatniéj.

Na początku pierwszéj części już autor zdradza kierunek polemiczny swéj pracy i uniesienie, częstokroć kaznodziejskie, niezbyt pożądane w studyum poważnie naukowém. Zastanawia się tu autor nad cechami wcześniejszych i późniejszych prac Darwina, i gromi go za ostateczne przechylanie się ku materyalizmowi i ateizmowi; następnie bada początki jego teoryi w starożytności i wspomina pobieżnie o przygotowawczych teoryach Getego i Okena, Maillet'a i Lamarcka. Następnie wyłuszcza główne zasady darwinizmu, zatrzymując się szczegółowiéj nad krzyżowaniem ras, świadczącém o możliwości odmian, „które wytwarza natura, a człowiek usiłuje zachować z niemałą pracą, bo rasa zostawiona sama sobie, wraca powoli do pierwotnego typu, (str 14). „Mówi daléj o walce o byt i naturalnéj elekcyi, według pojmowania Darwina.

(d. n.)

Korespondencja.

Stałéj Prenumeratorce Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci w Warszawie. W każdem dla dzieci przemówieniu, baczność rzeczywiście powinna być zwróconą na każde słowo, ale nie należy jéj posuwać do ostateczności, bo i przesada bywa równie szkodliwą. Im umysł bystrzejszy, ciekawość więcej zaostrzona, tym zastanawianie się, badanie czynniejsze. Najmniejsza okoliczność, najniewinniejsze słówko, podaje takim dzieciom sposobność do pytań często istotnie bardzo kłopotliwych. Uniknąć ich niepodobna, a nawet przewidzieć co do nich pobudką się staje. Co do drugiéj kwestyi, to koniecznie raz powinniśmy uwierzyć, że nie jesteśmy małoletnie dzieci, które strzedz należy, aby główki nie stłukły, a kolanek nie obtarły. Każde pismo w zakresie dla niego przeznaczonym, powinno wszystko pomieszczać co się tylko tyczy jego specyalności. Pomijać nic nie można, bo właśnie na to się pismo prenumeruje żeby wiedzieć to, czemu służy. Wszakże wszystkie wystawy sklepowe, także zaostrzają żądzę posiadania, a jednak każdy uważa je za konieczne. Nie zakazy więc bronią od złego, ale rozumne przekonanie co czy nić a czego czynić nie należy. O rozwijanie tego głównie staramy się.

Panu Aleksandrowi Z. w Nowo-Radomsku. Listy z przesyłką pieniężną tak samo się adresują, jak listy bez pieniędzy. Tyg. Mód. na 4-ty kwartał wysyłamy.

N. 40. Przyjaciela dzieci wyszedł z druku i zawiera.— O społeczności przedchrześcijańskiéj II.— Dziecię na obcéj ziemi, (wiersz).—Halina Zagórska. Powieść. (Ciąg dalszy).—Dominik Franciszek Jan Arago (z ryciną).—Czyny nauczające ułożone z historji starożytnéj i nowożytnéj. —Antylopa pręgowa, (z ryciną).— Wieści ze świata—Arber, (z ryciną).—Artykuł nadesłany.—Korrespondencye.— **W dodatku:** Przygody Ryszarda angielskiego, opowiadanie historyczne, ułożone podług angielskich pisarzy. (Ciąg dalszy).

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 41 r. 1872.

MADONNA D'IMBEVERA

POWIEŚĆ Z XVI STULECIA

CEZARA CANTU

PRZEŁOŻONA Z WŁOSKIEGO

przez

JANA CHĘCIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

Według rozumienia pospolitego, klatka miała oznaczać więzienie, ale ten wyraz odżywił w pamięci don Alfonsa kaźnię jego dziada; zabrzmiał mu po nad głową głosem zniewagi i groźby, więc nie badając bliżéj, pewnym był, że te słowa wymówił sam Sirtori. W takiem przekonaniu, zapomniawszy gdzie się znajduje, pochwycił za puginał, towarzysze uczynili toż samo, przeciwnicy także nie spali; porwawszy się z miejsc, owinęli około lewych rąk kapy, (¹) obnażyli żelaza, zabarykadowali się ławkami i z obu stron zaczęła płynąć krew... krew w kościele! podczas wykładu Ewangelii!

Zamięszanie stawało się coraz groźniejszem. Bogu wiadomo do czegoby przyszło, gdyby obecny tam gubernator, książe d' Albuquerque nienadbiegł ze strażą i niezakończył świętokradzkiéj bójki, rozkazując don Alfonsowi aby wyszedł z kościoła.

Nazajutrz czytano rozlepione po rogach obwieszczenie, które opiewało: że ponieważ *nieznośnem* stało się *nieposzanowanie pewnych osób, nawet znacznych, które wnosząc szkaradę do domu Pańskiego, jak gdyby w publiczne i to najrozpustniejsze miejsca, bez bojaźni pomsty bożéj, nawet prawie jak gdyby tam mogli używać większéj swobody*, ośmielają *się gawędzić, przechadzać wzdłuż i w szerz, zalecać, wznosić wrzaski, i nareszcie chwytać za oręż.* Temi nadużyciami zgorszony Jego Excelencja książe gubernator, dbając o *cześć bożą i całość juryzdykcji kościelnéj* obostrza *kary, ustanowione przez Jego świętobliwość Papieża Piusa V.* przeciw *profanatorom kościołów; rozkazuje i chce, aby nikt od dziś nadal, nie ośmielił się rozpustnemi słowami, nieprzyzwoitemi uczynkami, rozmowami i kłótniami*, przeszkadzać pobożnym, w czasie obrzędów świętych. Przekraczających powyższy rozkaz, *jakimby kolwiek osłaniali się pozorem*, skazuje na karę 50 skudów i pięciu rzutów sznurowych (²), *lub więcéj, a to stosownie do własnego uznania Jego Excellencji.* (³)

(¹) Zwierzchnia suknia delija.

(2) Rzuty sznurowe (tratti di corda)—rodzaj tortury. Przywiązywano winowajcę za ręce lub pod pachy do długiego sznura umocowanego u belki wysoko umieszczonéj; przyczepiono mu do nóg większy lub mniejszy ciężar, stosownie do winy, wprowadzono po drabince na belkę i ztamtąd strącano na dół. Rozumie stę, że pacjent nogami niedotykał ziemi. Czasem, nieprzywiązywano do nóg żadnego ciężaru.

(Przyp. tłom.)

(3) Ustęp powyższy, jako wyciąg z dokumentu autentycznego staraliśmy się wytłómaczyć dosłownie.

(Przyp. tłom.)

Ktoby obwiniał ówczesny rząd, że wystawiwszy kiedy bądź na widok publiczny tak groźne obwieszczenie, niedbał aby przy zdarzonéj sposobności wymierzyć zapowiedzianą karę,—byłby w zupełnym błędzie. Wszakże w jednéj z kronik znalazłem najwyraźniéj zapisane, że wkrótce po ogłoszeniu powyższego rozkazu, jakiś handlujący wieprzowiną, zapłacił 50 skudów i poniósł pięć rzutów sznurowych, za to, że zrobił wrzawę podczas mszy ś-téj w kościele św. Stefana; szukał on gorączkowo w tłumie pobożnych chirurga, aby tenże pośpieszył z pomocą owocarzowi, któremu rzeźnik zadał dwa pchnięcia nożem.

Chociaż don Alfons mógł być aż nadto pewnym, że go podobna kara nie dotknie, przez wzgląd należny dostojnym rodzinom, czuł jednak, że jako napastnik mógł być poszukiwanym. To też aby uniknąć kłopotu, opuścił miasto i schronił się do zamku Barzago, w którym uznał, że będzie daleko bezpieczniéj obrać stałą rezydencję. Otoczył się zastępem brawurów (¹) gotowych wykonać każdy jego rozkaz a nawet więcéj,—i tak niezależny, robił co mu się podobało. W pierwszych dniach po opuszczeniu Medjolanu, z rozdrażnioną nienawiścią, z powodu nowéj, dołączonéj do dawnych zniewagi,—wyszedł ze swego zamku do lasu szumiącego krwawem wspomnieniem, a przybywszy przed kapliczkę Matki Boskiéj d' Imbevera, ukląkł i zaniósł do Jéj stóp niegodziwą modlitwę. Ośmielał się przyrzekać Bożéj Rodzicielce, że jeśli za jéj pomocą wytępi cały ród człowieka, przez którego dziad jego został zamordowanym, wystawi Jéj na tem samem miejscu wspaniałą świątynię, dokąd ze wszystkich stron ludzie cisnąć się będą z czcią i ofiarami.

W kilka lat potem, hrabia Sirtori umarł bardzo jeszcze młodo, z dziwnéj choroby... wiejscy lekarze przypisywali ją zatrutéj potrawie, pomimo silnego uporu miejskich, którym koniecznie się zdawało, że powstała z czarów. Wdowa po hrabi, jeszcze nie zdjęła żałoby, kiedy pewnego razu, wracając przez las niewiem zkąd do dóbr Sirtori, ze swoim jedynym synem,—schroniła się przed burzą pod konary ogromnego orzecha, ocieniające kapliczkę d' Imbevera. Tam została napadniętą przez kilkunastu zbirów, którzy zamordowali natychmiast ludzi przeznaczonych do niesienia lektyki i jednego z dwóch służących, których wzięła dla bezpieczeństwa. Drugi służący korzystając z pomroki, zdołał uciec z dziecięciem, którem był właśnie nasz don Aleksander; matki nie znaleziono ani żywéj ani umarłéj. Otóż więc drugie zdarzenie, niemniéj od poprzedzającego tajemnicze.

Był w owym czasie syndykiem Barzago poczciwy człowieczynka, który uroił sobie, że za sto liwrów swojéj pensyjki, powinien opiekować się prawami gminy, nawet gdyby takowe chciał naruszać sam Feudatariusz. Biedaczysko nieznał świata, niewiedział jak się na nim obracać, to też niezwrócił uwagi na najpierwszą i najwyższą z cnót wszystkich czasów, że w obec panów, najlepiéj zamknąć jedno oko, a jak trzeba, obydwa, skłonić głowę i mówić „tak". Otóż ten syndyk, ośmieliwszy się komentować powyższe zdarzenie i utrzymywać, że mu się niewydaje sprawką koniecznie czystą, otrzymał zaraz nazajutrz potężną porcję kijów, ani wiedząc od kogo. Pamiętał tylko, że kijo-dawcy powiedzieli mu, iż to jest małą nauczką dla niego i dla innych gawronów, aby nieprzyglądali się za blisko pańskim figielkom.

(¹) *bravo, bravaccio*, najemny zbójca.

Drobna to okoliczność, jednak nie chciałem jéj pomijać, aby czytelnicy mieli sposobność zastanowić się, jak to źle czasem mieć słuszność za prędko.

Don Aleksandrowi, mogącemu mieć wówczas około dziesięciu lat, zostało tylko zamglone wspomnienie tego wypadku; burza, napad, jakiś człowiek który zatkawszy mu usta, uniósł go daleko pod potokami ulewy, były jedynemi wyobrażenia, które w nieładzie przebiegały mu po głowie. Przypominał też sobie, jak później, odprowadzony do domu, nie umiał odpowiadać na tysiączne pytania, jak wśród nich słyszał częste wykrzykniki: „ach niema cierpliwości! ale to zwierz zanadto gruby!"

Więcéj niepamiętał; nawet inne wypadki, któreśmy przytoczyli, nie były mu znane. Stryj Aleksandra będący mnichem w poważanym bardzo klasztorze Padwy, wiedząc, że chłopczyna niema innych krewnych, a przytem chcąc go usunąć od zbyt bliskiego niebezpieczeństwa, zabrał go do siebie, następnie umieścił w szkole, gdzie młodzieniec nauczył się łaciny, greckiego, składania wierszy, nabył pewnéj ogłady i stosownych dla swego stanu wiadomości. Uczył się chętnie, potem, jak się to zdarza, zapominał nauk dawniejszych, biorąc się do nowych. Wszakże przy owem wyszukańszem kształceniu, nabrał idei mniéj służebniczych; zapomniał o dziedzicznych nienawiściach w swojéj rodzinie, ponieważ nie umiał mu ich kto przypominać. Pamięć wielkiego nieszczęścia przebytego w dzieciństwie, nadużycia jakie często musiał znosić od kolegów, dumnych z protekcji tamtejszych jaśniepanów, przyczyniły się do wyrobienia w nim, a raczéj do zachowania ducha, jaki nadaje nam natura. Serce jego było usposobione do współczucia dla cierpiących, nienawiści dla zadających cierpienie, i do owych słodkich uczuć, które chyba długie pasmo krzywd poniesionych powiem *od losu* aby nieobrażać ludzi, zatrzeć w niem może.

Niestanowi to jeszcze wszystkich cnót. wiem, ale jest znaczną ich częścią i niewątpliwym śladem innych. Opiekunowie don Alexandra, pragnąc jak najprędzéj odesłać go do domu i us talić jego los, odebrali go ze szkół kiedy zaledwie liczył lat dwadzieścia, przysposobili mu nawet małżonkę w wyborze któréj, jakkolwiek zważali na wszystkie względy daleko więcéj niż na najwyższy, to jest: aby przyszła para była dla siebie wzajemną podporą, pociechą, pokrzepieniem, przecież powiodło im się szczęśliwym trafem wybrać osobę, posiadającą obok znakomitych bogactw, piękną urodę, wzniosłą duszę i ową słodycz charakteru co tyle się przyczynia do własnego i drugich szczęścia. Była nią znajoma już nam donna Emilja, z którą połączył się od kilku tygodni. Wśród uciech miodowego miesiąca, nieprzyszło mu na myśl wywiadywać się o dawnych sprawach swojéj rodziny. Gdyby je nawet znał, byłby najpewniejszym że po tylu latach, po zniknięciu nie tylko uraz, ale i prawie istnienia jednéj z nienawistnych sobie rodzin, wszelkie niesnaski powinny były zstąpić do grobu. Młodość łatwowierna bo dobra;—dla tego też tak często bywa oszukiwaną. Jakże by ona mogła sobie wyobrazić długotrwałe i wyszukane okrucieństwo, do któ-

rego mściwość tak zdolna? Jak choćby przypuścić naturę pewnych umysłów, których już przywilejem jest nienawidzieć osoby nawet nieznane, a dogmatem pragnąć nieszczęścia tych, co źle czynili?

Jednakże kiedy don Alexander przybył na wieś z młodą małżonką, przyszła mu chęć zwiedzenia miejsc bolesnych wspomnień z dziecięcych lat, i uronić łzę na tej samej murawie, na której przelano krew jego matki.

Jednego wieczoru, staje przed don Alfonsem gajowy. Był to Brescianin, chłop wysoki, barczysty, od dzieciństwa skory do bójek, kłótnik, pohopny do noża, który wypędzony ze swego kraju z tuzinem zabójstw na sumieniu, przyjął przed kilkomu laty służbę u don Alfonsa gdzie stosownie do okoliczności był myśliwym, bravem, pośrednikiem, szpiegem, katem. Ten to więc użyteczny ptaszek, staje przed panem i donosi mu, że jutro rano, Sirtori przejeżdżać będzie tamtędy, udając się niewiadomo po co do lasu d'Imbevera. Na tę wieść Feudatariusz podskoczył jak wyżeł, który widząc swojego pana biorącego torbę i strzelbę, zgaduje że ma pójść na polowanie. Jakkolwiek był on nawykły do zbrodni tak, że dodania nowej do dawnych nieuważał za nic wielkiego, tej przecie nocy nie umiał być spokojnym. Wchodził i wychodził bez powodu; długi czas przechadzał się po tarasie, gdzie lubo miał przed sobą uśmiechnięte pięknością równiny di Erba, oświetlone księżycem, srebrzącym spokojne wody maleńkich jezior, nie zwracał na nie uwagi. Z rękami skrzyżowanemi na piersiach, z wlepionym w ziemię wzrokiem kroczy zamyślony, od czasu do czasu przyklaskiwał samemu sobie, później wydawał rozkazy, wypytywał i znowu chciał być sam; bliskość spełnienia zamiaru przez tyle lat kartowanego nie dawała mu spoczynku.

Przed świtem był już na nogach, a wydawszy rozkaz aby wszystko było gotowe do polowania, zamknął się w swoim pokoju. Tam podniósł kobierzec pokrywający nieznaczne drzwiczki w murze, otworzył je, wszedł do gabinetu, wyjął z zanadrza maleńki kluczyk, otrworzył nim zasuwę, przytrzymującą łańcuch od żelaznych drzwi, uchylił je, potem z wielką ostrożnością, przestąpiwszy próg dał jeszcze kilka kroków, rzucił bochenek chleba który z głuchym łoskotem padł głęboko na kamienną podłogę, wreszcie nachylił się i zawołał.

— Ty! nędzniku! Dzisiaj dam ci towarzyszkę!

Zatrzasnął drzwi, schował klucz, zapuścił kobierzec, wrócił do pokoju, rzucił się na klęcznik i odsłonił czarny całun pokrywający trupią głowę na srebrnej postawie; wpatrywał się w nią przez kilka chwil jakby w głębokiej medytacyi, poczem wydobył z za koszuli złoty medaljon, pamiątkę ojcowską, którą nosił na szyi na łańcuszku, utrzymującym także i kluczyk dopiero co użyty, pocałował wyrzeźbiony na medaljonie obrazek i trzymajac go przed sobą, w złożonych rękach zaczął się modlić temi słowy: „Święta Dziewico Orędowniczko moja! jeżeli kiedykolwiek wysłuchałaś mnie biednego grzesznika wysłuchaj i dziś dobrotliwie modłów moich. Użycz mi łaski na dzisiejsze polowanie, abym mógł wymierzyć sprawiedliwość ojcu ojca mojego, abym dotrzymał obietnicy danej umierającemu rodzicowi. Czuję głęboko jak wiele razy obraziłem Ciebie i Twego boskiego Syna, lecz jeśli dziś wstawisz się za mną do tego Boga, co karze winy ojców aż do trzeciego pokolenia, zacznę wieść życie przykładne; cześć jaką miałem zawsze dla twego Imienia, powiększę—i rozpocznę powetowanie grzechów, dotrzymaniem ślubu, który Ci uczyniłem, i który ponawiam teraz. Tak Matko miłosierdzia, dopomóż mi dzisiaj, a choćby mi przyszło płożyć podatek, choćby mi przyszło rabować po ulicach dla pozyskania pieniędzy, wzniosę bogatą świątynię po nad błogosławionym Twoim Obrazem w Imbevera!"

I znowu ucałowawszy obrazek, ukrył go na piersi; potem wziął z klęcznika książkę od nabożeństwa, odpiął srebrne klamry i poprobował wróżby do jakiej w ważnych wypadkach zwykł się był uciekać. Wróżba ta, zależała na trafunkowem otworzeniu książki, z pierwszych słów jakie mu popadną pod oczy, wnioskowaniu o pomyślnym lub niepomyślnym wypadku jego zamiarów. Pierwszemi wyrazami jakie teraz napotkał, był ustęp psalmu pokutnego: *Dominus de coelo in terram ad spexit ut audiret gemitus compeditorum, ut solveret filios interemptorum*, (1) Jak wszyscy ludzie namiętni i czujący tylko swoją krzywdę, przypomniał sobie obrazy doznane, niepomnąc zadawanych. Widział swojego dziada w owym obciążonym łańcuchami, siebie w synu zabitego. Słowa więc psalmu, wydały mu się najstosowniejszem proroctwem na zapytanie, jakie czynił w swej myśli, To też w uniesieniu radości pocałował obrazek Matki Boskiej, umieszczony po nad tytułem książki, i powstał pełen zaufania. Pod axamitny kolet, wdział lekką, wygodną, dobrze przylegającą do ciała koszulkę stalową; przyczepił do pasa piękny puginał, przywdział buty do polowania, włożył na głowę kapelusik bez pióra i wyszedł. Wszystko było w porządku. Dosiadł zgrabnego hiszpańskiego dzianeta, posadził na okutą rękawicę lewej ręki sokoła, i wśród odgłosu trąb, szczekania psów, gwaru myśliwców, wyruszył na polowanie.

Właśnie w tych stronach, rozmawiał ksiądz proboszcz z miejscowym syndykiem. O tym ostatnim, zdaje mi się żem już wspominał. Proboszcz zaś, don Amadio, uchodził za najlepszego człowieka w całej okolicy; sławnym był z głębokiej znajomości ksiąg teologicznych i kazuistów, niemniej z ogromnego zasobu cytat, któremi sypał jak z rękawa. W kongregacjach duchownych, gdzie podług świeżych jeszcze postanowień Trydenckiego Koncylium, zbierał się często kler dla roztrząsania spraw sumienia, głos don Amadia stanowił zawsze ostateczną przewagę. Dozwoliwszy dość długiej narady swoim szanownym współbraciom, występował on na ostatku ze swemi tęgo obmyślanemi argumentami, któremi przeciąwszy najzawikłańszy węzeł, osadzał wszystkich na mieliznie. Z powodu pozyskanego zaufania, mianowano go nawet Wiktorjuszem stolecznym, która to godność miała wówczas wiele znaczenia, gdy probostwa wydawały wyroki, okólniki i były tem, czem obecnie trybunały, sądy, więzienia. Co prawda nasz proboszcz nie chciał zajmować sobie czasu z byt wieloma sporami, które go odciągały od ulubionych studiów; wolał on *dozwalać* czynić niżeli czynić, to też nawet w parafii, nakarmiwszy w niedzielę swoje owieczki homiljami wypowiedzianemi podług wszelkich prawideł retoryki, w której był najmocniejszy, pozostawiał im samym troskę wprowadzenia tych nauk w praktykę, a jeśli tego nieczyniły, tem gorzej dla nich; jego sumienie było zaspokojone. Zresztą, był to człowiek przezorny, z wielkiem poszanowaniem dla panów, a szczególniéj wielbiciel spokojności i wszystkiego co się nazywa wzorowym porządkiem.

Wypiwszy czekoladę, przechadzał się trawiąc ją na świeżem powietrzu, kiedy tymczasem syndyk, który przekąsiwszy kawał suchego chleba, wyszedł z motyką na ramieniu w pole, spotkał się z nim i zaraz wystąpił z żalami na nowy podatek, nałożony przez Feodatariusza, wbrew wszelkim dawnym zwyczajom, nazwany pieczęciowe, ponieważ zmuszał oberżystów do płacenia za pieczątki, jakie kładziono na miarkach od wina, sprzedawanego cząstkowo. Proboszcz słuchał cierpliwie skarg syndyka, potem wybuchnąwszy śmiechem, pokiwał głową, podał mu otwartą tabakierę i rzekł:

— „Otóż i twoje odwieczne antyfony! Ty widzę gwałtem szukasz z zapaloną latarką kłopotów! Co cię obchodzi jakiś tam nowy podatek? Gdyby go tobie kazano płacić, ato co innego; niech się nim troszczą ci, których kieszeń zmaleje. Wiesz co ciekawy z ciebie człowieczek. Gdybyś zbierał owoce z moich kazań, nie byłbyś tak niedorzecznym. Bierz przykład ze mnie, powiadam ci. Pozwól płynąć wodzie z góry ku dołowi; przywiąż osła tam gdzie każano. Czy świat nie zawsze szedł takim trybem? Co chcesz go teraz przeinaczyć?

— „Niechże i tak będzie, odpowiedział syndyk,— niech sobie będzie jak chce; wasza wielebność czytasz rozmaite księgi, toć musisz wiedzieć więcéj odemnie; jednakże kiedyś, niebyło takich zdzierstw i gdyśmy używali naszéj...

— „Dajże raz temu pokój;—przerwał don Armadio. Co mi tam będziesz przywodzić czasy kiedy Berta przędła? Teraz jest tak, jak jest, i rad nie rad musisz dozwolić aby tak było jak jest; dajże mi trochę wiary, jeżeli nie chcesz mieć licha w kieszeni. Patrz na mnie, przecież i ja coś znaczę, i mnie Bóg zamiast głowy nie dał cytryny.

Umiem sobie poradzić choćby i z księżmi i tak się jakoś wywijam, że potrafię zdobyć miłość i żyję w zgodzie z wszystkiemi. To rzecz nielada kochanku! Niech sobie panowie postępują jak panowie, czyż się to od wczoraj tak dzieje? Czy to wszystkie palce u ręki równe? Oto nie zapominaj, że on jest Jaśnie Wielmożny don Alfonso, a ty jesteś tylko Isidoro, biedniuchny człowieczątko".

— „ Ale poczciwy,—dorzucił syndyk, i uderzając po swojej bawełnianej kurtce: patrzajcie księże Wikariuszu, mówił dalej,—na tej lichej opończy, nie ma ani jednej plamy zdrożności, ani kropelki krwi, ani jednej łzy, tymczasem na złotogłowiu kogoś innego....

Nie dokończył myśli posłyszawszy hałaśliwy tentent; po chwili ujrzał ukazującego się na zakręcie don Alfonsa, zdjął tedy czapkę, pokłonił się kilka razy i milczkiem cofnął się w swoją stronę. Lecz proboszcz, odsłoniwszy szeroką tonsurę, zbliżył się z wielkiemi ukłonami na powitanie Feodatariusza. Ten wywzajemniwszy mu się z całą dworskością, rzekł:

„ Czy wasza wielebność nie raczy zaszczycić nas swoim współudziałem w polowaniu?"

Naszemu proboszczowi, wydałoby się uchybieniem przeciw wszelkim towarzyskim formom, gdyby z wyższemi od siebie rozmawiał tym samym stylem co z hołotą; to też gdy mu się nadarzyła sposobność rozmawiania z panami przedzierzgnął się zupełnie w innego człowieka, rzucał w kąt mowę cichą, spokojną, aby się popisać z paplaniną pełną niepotrzebnych słów, kwiecistości, naszpikowaną mnóstwem porównań;—słowem paplaniną w jakiej ówczesna generacja, niewyłączając nawet cyrulików, wysilała się tak dobrze na dowcip jako i na płynącą potokiem wymowę. Na zaproszenie więc don Alfonso, odpowiedział:

— „Oh! Jaśnie Wielmożny panie! dzięki ci za promienie, jakie ze słońca twojej dworskości i uprzejmości, padają na mroczną dolinę zasług moich. Ciemności moje wydają mi się jaśniejszemi niż są w istocie. Ale jak wiadomo waszéj wysokości, kanony, które powinny być naszą polarną gwiazdą, niedozwalają mi przyjąć łaski, jakaby rada spłynąć

1) Pan z niebios na ziemię, spojrzał, aby usłyszeć jęki okutych łańcuchami, aby rozwiązać synów, których ojcowie zostali zabici.

na mnie tak wdzięcznie, z kaskady jego uprzejmości. *A venationibus, acupiis, tabernis, choreis, lusibusque abstineat*".

— „Niech i tak będzie, odpowiedział panek; jednakże jutro, proszę niezapominać, że miejsce u mego stołu, jak zwykle, jest na usługi waszéj wielebności.

— „Będzie to dołączeniem nowego dobrodziejstwa, do niebotycznego stosu łask, jakie mam zapisane w archivum mojéj pamięci" odrzekł z nowemi ukłonami don Amadio, a spoglądając za odjeżdżającym Feodatariuszem, zawołał: „Cóż to za dobry pan!"

Dobry ten pan pojechał drogą, którą wypadało koniecznie przebywać, don Aleksandrowi, udając, że się tam znalazł przypadkiem. Don Aleksander ukazał się wkrótce na koniu, obok żony, w pośrodku czterech zbrojnych pachołków, bez których na cześć panującéj spokojności, żaden szlachcic nie wyruszyłby z domu, nawet z tych dobrych. Dostrzegłszy jadących naprzeciw siebie, zapytał swoich ludzi, czy nie wiedzą co to za jedni. Pachołkowie nieukrywali prawdy, dając mu nawet do zrozumienia, że niemożna im ufać. Jednakże młodzieniec, zwrócił ich uwagę na to, że Isacchi ma ze sobą zaledwie kilku ludzi do polowania, obciążonych zwierzyną i wcale nieuzbrojonych zaczepną bronią. Powiedział także, iż znajdując się w tem miejscu, niewypada zdradzać najmniejszego podejrzenia, które zamiast ich ocalić, mogłoby tylko zrodzić rzeczywiste niebezpieczeństwo. Jechał więc daléj, zaleciwszy swoim ludziom trzymać się na baczności i pod żadnym pozorem nie tracić go z oka.

Don Alfonso, dostrzegłszy daleko wcześniéj Sirtorego, nie umiał pohamować radości, tak, że gajowy szepnął do towarzyszy:

— „Patrzcie, nasz panek podobny teraz do jastrzębia, co ujrzał kuropatewkę"....

Skoro się przybliżyli, Feudatariusz wysunął się naprzeciw don Aleksandra z miną przyjacielską, ułożoną zawczasu i zawołał:

— „Jakiż pomyślny wiatr sprowadza w te strony mojego pana i dostojną jego małżonkę?

— „Raczéj pańskiego pokornego sługę,—odpowiedział młodzieniec, i zaspokojony do reszty uprzejmem powitaniem, wyjaśnił mu przyczynę swojéj pielgrzymki.

— „Oh! nikt nie odważy się powiedzieć, dodał Isacchi, że tak dostojna para zaszczyciwszy swoją obecnością moją jurysdykcję, nie raczyła przyjąć gościnności, jaką w swoim zamku, może jéj ofiarować samotny wieśniak".

Don Aleksander wymawiał się, zapewniając, że musi jak najprędzéj wrócić do siebie.

— „Rozumiem, rozumiem... odrzekł tamten z figlarnym niby uśmiechem; dwojgu rozkochanym nowożeńcom, nie byłoby przyjemnie spędzić noc pod obcym dachem. Jednakże nie zechcecie odrzucić tego, co mogę natychmiast wam ofiarować, to jest rozkoszy polowania. Jeden z moich ludzi dopatrzył w tych miejscach dzika, jeżeli jest, musimy go wytropić".

Polowanie było tak powszechną namiętnością bogatych, zaproszenie uczynione z takim pozorem szczerości, że zdawałoby się don Aleksandrowi uchybieniem, gdyby odmówił. Natychmiast więc podano im dzidy, kusze ręczne i najlepiéj ułożone sokoły, poczem wszyscy polowali, aż do przybycia do karczemki Cyprijana, gdzie przypomina sobie czytelnik, żeśmy ich zostawili.

Kiedy już z tamtąd odjeżdżali, don Alfonso zmierzył badawczem okiem brawurów don Aleksandra, nieodstępujących go ani na chwilę, i nabył przekonania, że mogą popsuć jego zamiary; poczem, schyliwszy się do ucha gajowego, szepnął:

— „Staraj się upoić jego ludzi; rozumiesz?

Gajus odpowiedział ukłonem; następnie ruszyli w las i niezadługo całe towarzystwo znalazło się blisko kapliczki d' Imbevera. Na jéj widok don Aleksander zawołał:

— „To właśnie miejsce mego dawnego nieszczęścia! Przypatrując się téj murawie, tym wzgórzom i drzewom, odnajduję w pamięci pewne rozproszone wspomnienia, jak ten co w wyobraźni swojéj odtwarza sobie i przypomina przyjaciela dziecinnych lat. Poznaję tę kapliczkę. Patrz Emiljo; tu stała lektyka, właśnie u stóp tego wielkiego drzewa. Deszcz lał potokiem. Ja zaś, aby niesłyszeć i niewidzieć nieustannych grzmotów i błyskawic, tuliłem głowę do łona mojéj matki, a ona... nieszczęsna matka! pieściła mię, uspokajała. Nagle rozległy się wystrzały, powstało zamieszanie połączone ze szczękiem broni; spoglądamy przed siebie i widzimy zbliżających się... ah! cóż za postacie! Gęste włosy spadając od czoła (¹), zakrywały im całą twarz, co przy świetle błyskawic, czyniło ich prawdziwie podobnemi do szatanów. Zdaje mi się, że w téj chwili mam ich przed oczyma i może gdyby się ukazali, zdołałbym ich popoznawać"....

Gajowy, wiedząc doskonale dla czego, odwrócił się plecami, niby dla wydania jakichś rozkazów; oczy donny Emilii współczującéj boleść męża, zwilżyły się łzami aż Feodatarjusz chcąc położyć kres téj rozmowie zawołał:

„Eh moi państwo, dość tych niemiłych wspomnień; wasze rozrzewnienie zaszczyt wam przynosi, aleśmy tu przybyli dla zabawy. Dajmy więc pokój czułościom; baczność! puszczajcie psy!

Uderzył w róg, spiął ostrogami konia, popędził w gęstwinę, a za nim wszyscy rozsypali się po lesie.

Jakim jednakże sposobem don Alfonso chciał pochwycić zdobycz, na którą nieżartem czychał, bylibyście już wiedzieli łaskawi czytelnicy, gdybym wam był powiedział, że między innemi rozkazami wydanemi tego poranku, przywołał gajowego i rzekł.

„Wybierzesz mi trzech brawów, doświadczonych w najtrudniejszych przedsięwzięciach, (to jest największych łotrów) wyślesz ich na ścieżkę prowadzącą od młynów do kapliczki z Madonną, tam niechaj się ukryją i ani się poruszają z miejsca. Ty będziesz przy mnie. Znajdziemy jaki bądź powód oddzielenia go od jego ludzi i zwabienia w tę stronę. Gdy krzyknę: „*do mnie!*" niechaj wypadną; jeżeli by był przy nim który z pachołków, głasnąć go nożem pod żebro; najważniejsza rzecz aby pochwycić pana jeśli go dostaniemy żywcem, tem lepiej i w takim razie porwać go bez namysłu do zamku."

Na ten rozkaz, wydany z zimną spokojnością z jakby dzisiejszy bogacz rozkazywał stangretowi założyć konie, gajus wcale nie cieplej odpowiedział:

— „Dobrze, Jaśnie panie.

Potem, kiedy już wszystko ułożyli między sobą i gdy pan pozwolił służalcowi odejść, a gajowy patrząc mu prosto w oczy, nieodchodził, don Alfons zrozumiawszy o co idzie dodał.

— „Dostaniecie na dobrą miarę wina."

—„ Pokorny sługa Jaśnie wielmożnego pana, odrzekł kłaniając się do ziemi gajowy, w którym okrucieństwo szło w parze z chciwością. Jednakże dla załatwienia rachunku z tamtemi ... wartoby jakoś . . coś niby pewniejszego.

—„ Oto całoroczna płaca; —odpowiedział Feodatariusz rzucając mu w kapelusz grubą sztukę złota.

Sługus podwoił ukłony;—„Dzięki, pokorne dzięki Jaśnie wielmożnemu panu, bo to widzi Jaśnie pan, grzechy bywają rozmaite... jedni grzeszą niedowiarstwem ... drudzy mogą niedotrzymać...

—„ Ja zawsze dotrzymuję, sprawcie się tylko tak aby wszystko poszło po myśli.

—„ Jaśnie wielmożny pan, będzie usłużony wedle godności swojéj."

Trzej tedy uzbrojeni rabusie, zajęli wskazane miejsce i ukryci w gęstwinie, gawędząc, przedrwiwając się wzajemnie, poziewając, oczekiwali ofiary. Niewiedzieli jaka, ani starali się odgadnąć; wiedzieli tylko że im rozkazał ten kto zapłacił, to i dosyć. Jest to obojętność, która w jednem lub w dwóch indywiduach, wydaje się nam oburzającą, okropną, a która wcale nas nie oburza, gdy ją znajdziemy w czterech lub sześciu kroć sto tysięcy walczących, co oczekują tylko odgłosu trąby, uderzenia bębna, aby rzucić się na siebie wzajemnie i mordować jedni drugich, nieznając się, nieszukając przyczyny, wiedząc je dynie że rozkazano.

Tymczasem Orso di Barzago, usiłował wszelkimi sposobami oddzielić młodzieńca od towarzystwa, lecz widząc że z powodu wierności jego służby, tą drogą nic nie wskóra, powziął nadzieję spełnienia swego zamiaru nie prędzéj, aż się służba przy podwieczorku popije. Los jednakże zdawał się skracać czas jego oczekiwania; żona don Alexandra życzyła cokolwiek spocząć, więc ten pozostawiwszy przy niéj swoich brawurów, puścił się za zającem obok Feodatarjusza, któremu towarzyszył tylko gajowy, co zwąchawszy dogodną porę, prowadził ich wprost ku miejscu zasadzki. Byli już niewięcej ztamtąd oddaleni jak na trzy strzały ręcznej broni; młodzieniec pędził z pewnością i zapałem młodości, drugi drżał rozkoszą na myśl bliskiego spełnienia zemsty, kiedy nagle posłyszeli wydobywający się z zarośla krzyk, narzekanie i wymysły. Don Aleksander tknięty podejrzeniem wstrzymał się wlepiając badawczy wzrok w Feodatarjusza; potem zawrócił konia i podążył ku miejscu gdzie pozostawił żonę w obawie czy ją niespotkało jakie nieszczęście. Tymczasem Feodatarjusz, zrozumiawszy dobrze zkąd pochodził ten hałas, lubo niepojmował przyczyny, pieniąc się prawie ze złości, popędził na miejsce zasadzki.

Przyczyną krzyku było to, że kiedy brawurowie jak mówiliśmy wyżéj, czatowali na ofiarę, wcale innego rodzaju zdobycz nasunęła im się przed oczy; była nią Brygida córka oberżysty, czyli raczej karczmarza, która w towarzystwie poczciwego Cyprijana powracała do domu. Była ona jedną z tych pięknych wieśniaczek, na które warto spojrzeć obydwoma oczami; w kwiecie dwudziestu lat, bogate sploty czarniuteńkich włosów, otaczały pełną uśmiechniętą twarzyczkę, na któréj świeże rumieńce swiadczące o doskonałem zdrowiu, ożywiał jeszcze o téj godzinie skwar południa, a zadowolenie z powrotu między swoich, podwyższało wesołość jéj dobrego i łagodnego serca. Skromny ubiór, niewiele różniący się od ubioru jakiego dotąd używają dziewczęta z Brianza, składał się z gorsecika i spódniczki z filozelu (¹) oraz zgrabnego fartuszka w pasy. Na obnażonej, okrągłej ręce, niosła koszyczek z trochą ubrania i bielizny które zabrała z sobą do przędzalni. Uprzejmość brata nie była aż tak ucywilizowaną, aby uwolnił siostrę od tego ciężaru; nie przyszło mu to nawet do gło-

(¹) Najemni zbójcy, czyli *bravi*, nosili długie włosy splatane z tyłu głowy jak harcapy, które w chwili napaści, rozpuszczali i zgarniali sobie na twarz, aby ich niebyło można poznać. p. t.

(¹) Gatunek jedwabnej materyi.

wy. Lecz za to, postępując przed nią po niewygodnej ścieżce, odgarniał gałęzie, rozsuwał krzaki, wracał ku niej, wypytując się z przywiązaniem co porabiała, opowiadając wszystko cokolwiek zaszło w ich domu lub co się stało u ich przyjaciół. Wreszcie z miną żartobliwą, zwróciwszy głowę aby spojrzeć na dziewczynę ukradkiem, zapytał.

— „A jak się miewa pan ogrodnik tamtejszy?

Dziewczyna bardziej jeszcze poczerwieniała i z uśmiechem skromnej dobroci, zamiast odpowiedzi, wzajemnie go zapytała.

— „A jak się miewa moja latorośl winna?"

— „Oh! twoja latorośl... gdybyś wiedziała w jakiem była niebezpieczeństwie! Cudem prawie ocalona!...

Teraz dopiero Cyprjan, znalazł sposobność opowiedzenia siostrze wielkiej historyi o zającu, o przestrachu i nareszcie o całej przyczynie, dla której wyszedł na jej spotkanie.

— „Lecz możesz być spokojną,—mówił daléj,— odgłosy polujących słychać aż tam, w dolinie, daleko ztąd.."

Tak sobie gwarząc brat i siostra przybyli właśnie do stanowiska brawurów, ani ich spostrzegając zdaleka...

Ale jeden z nich, dojrzał naszych podróżnych i natychmiast zawołał:

— „Aj! aj! patrzajcie no koledzy, jak widzę, przez ten las i domowe zwierzątka przechodzą.

— „Dalipan śliczna pulardka!—krzyknął drugi zrywając się na równe nogi.

— „Oh! grubo by zełgał, ktoby powiedział że ten buziaczek brzydki, dodał Guercio wykrzywiając gębę do niemiłego uśmiechu.

Cyprjan w tej chwili, z pewnością wolałby był zobaczyć djabła. Obejrzał się dokoła, nie było żywej duszy aby mieć nadzieję pomocy; przekonał się że tutaj wypadało jak to mówią „pić albo się zakrztusić." Zwrócił się zatem do nich z miną odważną i zawołał...

— „Piękna bo piękna, ale i ja tu jestem ... pewnościemnie nie widzieli... czy macie do nas jaki interes?.." I jeszcze dodał kilka podobnych zapytań, jakie zwykle wymawia głośniej ten, co ma więcej strachu...

Ale niebyli to ptaszkowie dający się odstraszyć słowami; to też z grubijańskiemi manjerami brawurów, zbliżyli się do dziewczyny, która na przemian kraśniejąc i bledniejąc, tuliła się do brata i ze drzeniem wołała.

— „Ratuj mię, ratuj Cyprijanie!"

Cyprjan widząc że się tu słowa na nic nie zdadzą, uczuł jak krew uderza mu do głowy. Wlepiwszy zatem wściekłe spojrzenie w przeciwników, sycząc jak kot gdy psa poczuje, zaczął wywijać młynka swoim potężnym kijem, gdy tymczasem drugą ręką wydobył nóż i krzyknął.

— „Zdaleka łotry! albo was wszystkich wyprawię prosto do piekła.

— „Oho! ten nie żartuje, pomruknął Guercio,— lecz kiedy tak, i my nie damy się połknąć."

I wszyscy trzej zwrócili się ku niemu. Drożyna coraz węższa ciągnęła się niby maleńki wąwóz, między dwoma wzgórzami zarośniętemi gęstwiną: nietrudno więc było Cyprijanowi bronić przystępu wszystkim trzem, czego odważnie dopełniając, wołał na siostrę: „uciekaj, chroń się!"

Dziewczyna jednak dobrze rozumiała, że oddalenie się od brata, pewnoby wyszło na gorsze to też trzymała się w blizkości po za Cyprjanem, który cofając się, dzielnie wywijał kijem.

Tym sposobem, wydostali się na maleńki plac otaczający kapliczkę z Matką Boską. Z trwogą, z jaką dziecina chwyta się za suknię matki, uciekając przed natarczywym psem, Brygida pobiegła do kapliczki i padła na kolana. Tam również chciał się dostać nasz Cyprjan, lecz zaledwie wystąpił na przestronniejsze miejsce, jeden z brawurów wyprzedził go, tak, że został otoczony.

Co prawda, niemyśleli go zabić, bo nie mielli rozkazu; do całej tej awantury, doprowadziła ich tylko wyuzdana igraszka. Lecz gdy jeden i drugi oberwał guza kijem młynkującym w ręku Cyprjana, który nie myślał brać za żart zniewag wyrządzanych jego ukochanej siostrze, igraszka przybrała inną postać i rozzłoszczeni rabusie przysięgli dobrze mu się odpłacić. Bij tedy, kiedy ja biję ciebie,—jeden przeciw trzem, nasz chłopak znajdował się w djabelnie ciasnem położeniu.

Nawet schronienie w świętem miejscu, gdzie się udała Brygida, podług wyobrażenia tych nędzników, zabezpieczało od gwałtów, ale nie od rozpusty. Kiedy więc dwaj rabusie przytrzymywali za ręce brata, Guercio najobrzydliwszy z nich duszą i postacią, poskoczył do dziewczyny, aby ją napastować wyuzdanemi słowami i wyuzdańszemi jeszcze umizgami. Nieszczęśliwa skulona, pzzytulona do ściany, z rękami skrzyżowanemi na piersi, twarzą o ile mogła ukrytą m iędży ramiona, wołała:

— „Boże miłosierny ratuj! Cyprjanie, Cyprjanie broń mię!.. Czego chcesz odemnie?.. odejdź, zaklinam cię na matkę, na siostrę twoją!.. Nie... nie!. miej litość.. jam biedna dziewczyna... oddal się, oddal... O Matko Boża!.. O dusze czyscowe!. ocalcie mię, a w poniedziałek odmówię za was różaniec..... pomocy! pomocy!"...

I Cyprijan patrzał na to. Daremnie usiłował wydobyć się z rąk napastników; tupał nogami, piorunował, szarpał się jak rozłoszczony puchacz, wznosił oczy ku niebu, krzyczał: „puszczaj ją, ty potępiony łotrze!.. gdybym cię mógł dostać... pamiętaj, że cię ubiję jak psa!".. lecz wszystko kończyło się tylko na groźbach. Prócz tego, brawurowie, mięszając z jego krzykiem swoje przekleństwa i wydrwiwania, od czasu do czasu dawali mu uczuć wcale niepospolitą wagę rąk swoich.

Na te wrzaski, na te klątwy, przybiegły najpierwéj psy, których liczba wzrosła, potem myśliwi z różnych stron lasu, nareszcie sam don Alfonso. Ukazanie się jego, nieobiecywało nic pomyślnego Cyprjanowi. Są jednak chwile w których nawet klęska staje się pociechą, byle nas wyrwała z nieznośnéj teraźniejszości. Jakoż zaledwie się pan ukazał, brawurowie, o tyle z wyższemi od siebie pokorni, o ile względem niższych rozpasani, puścili dwoje napastowanych biedaków i zerwawszy z głów czapki, cofnęli się z uniżonością jaka się zwykle wyradza ze służebnictwa. Cyprjan także złożył swoją broń i zdjąwszy kapelusz, stał ze spuszczonemi oczyma. Nastąpiła nagle chwila milczenia jak przed bliskiem trzęsieniem ziemi, aż don Alfonso z najsurowszem jak mógł wejrzeniem, krzyknął na trzech rabusiów:

— „Niegodziwcy! także to spełniacie moje rozkazy? Żywo, na miejsce! a potem porachujemy się!"...

Cyprjan nie mógł uwierzyć, że Orso wykrzyczał swoich ludzi za nikczemny postępek. Jakby do życia wrócony, zaczął bełkotać przez zęby coś podobnego do podziękowania. Lecz jak ten, któremu po zażyciu belladonny, ukazują się w pół-śnie wdzięczne postacie, a potem zwolna przemieniają się w potworne widma, tak nasz biedny chłopczysko, zmięszał i nie wiedział co z sobą począć, gdy wzniosłszy oczy, ujrzał zmarszczone w odrażający sposób brwi Feodatarjusza, który tonem téj saméj groźby, rzekł do niego:

— „Co zaś do ciebie zuchwały nędzniku, który przeciw mojej służbie śmiesz używać siły, będziesz miał do czynienia ze mną!"

Przerażony Cyprjan, mruczał jakąś odpowiedź, jakieś usprawiedliwienie, gdy nieszczęśliwym trafem, ujrzał wlepione w siebie zezowate oczy gajowego. Radby był zapaść się pod ziemię, odwracał głowę, utulał ją w ramiona, ale napróżno; gajowy przystąpiwszy ku niemu, zawołał uderzając go ręką po ramieniu:

— „Hola ptaszku! nie mylę się; jesteś jednym z tych, co przeszłego tygodnia zabijali po lesie zające.

Potem, powtarzając uderzenie, dodał z szatańskim uśmiechem:

— „Teraz cię złapałem; widzisz, mówiłem że przyjdzie kréska na ciebie... będziesz się miał spyszna robaku!"

Don Alfonso, już rozłoszczony pomięszaniem szyków swojego planu, nie wiele potrzebował aby się rozwścieć do reszty.

— Jakto? zawołał wyzionąwszy całą baterję przekleństw; jeszcze i to? Naruszać zachowane dla mnie polowanie, tępić moją zwierzynę a teraz stawiać opór mojej służbie. Ah! to przechodzi wszelkie pojęcie, nauczę ja ciebie. Tymczasem przywiążcie go do tego drzewa i wsuńcie mu dobrą porcję sznurów, aby wymienił towarzyszy swego łotrostwa!"

Cyprjau, który stał w milczeniu, ze spuszczoną głową, z postacią z jaką nie jeden na tym pięknym świecie, znosi zniewagę od przemożnego, posłyszawszy ostatni rozkaz, uczuł dreszcz na całem ciele.

— „Panie... bełkotał,—Jaśnie Wielmożny panie... Racz posłuchać... Co do twojéj służby, jam był spokojny, to oni mnie biednego napadli i zelżywie napastowali moją siostrę.. A co do zająca... powiem prawdę... tak... ale... rzeczywiście... jest u nas winna latorośl... siostra może zaświadczyć...

Takie i tym podobne słowa, jąkając się, dusząc prawie, wymawiał biedny Cyprjan, lecz nadaremnie, nieugięty wzrok pana przynaglał służalców, którzy jako biegli oprawcy, przystąpili do karczmarczyka. Nareszcie widząc, że pokora i prośby na nic się nieprzydadzą, chłopak upatrzył chwilę, poskoczył naprzód i dopadł do kapliczki, gdzie Brygida blada, na pół umarła, ze złożonemi rękami, wzniesionemi w górę oczyma, gorąco się modliła. Tam, czując się zabezpieczonym od strony pleców, protegowanym przez poświęcone miejsce, Cyprjan wcisnął sobie kapelusz na głowę, potrząsnął kijem w jednéj, nożem w drugiéj ręce, i pełnym groźby głosem zawołał:

— „Zbliż się kto ma odwagi!"

Ludzie nieśmieliby go ztamtąd wywlec, ale podżegnięte psy, nie troszcząc się bynajmniéj o świętość schronienia, rzuciły się na niego, a niebyło ich mało. Cyprjan wywijał kijem na oślep; ktokolwiek znalazł się bliżéj, człowiek czy kundel, miał za swoje; to też nastało szalone zamięszanie, na które złożyło się szczekanie psów, klątwy brawurów wachających się pomiędzy rozkazami pana a poszanowaniem świętego miejsca, i nareszcie silniejsze jeszcze przekleństwa don Alfonsa, który widząc swoją psiarnię w ten sposób traktowaną, zapomniał o wszelkich względach, spiął konia ostrogami i nacierał na nieszczęsnego, poprzysięgając, że srogo mu zapłaci, choćby go miał pochwycić bodaj z samego ołtarza.

d. c. n.

O ubiorach.

(Dokończenie)

Nadmieniamy jeszcze że ten fason tiuniki garniruje się frendzlą, a lepiéj jeszcze falbankami. Uważamy fason ten za bardzo pra-



N. 1. Ubranko wizytowe.

ktyczny, raz dla tego że materjału daleko mniéj wychodzi, powtóre że kupując szarfę morową czarną, takowa służy do każdéj innéj sukni, następnie tam gdzie ilość łokci (naprzykład gdy się suknia przerabia) jest nie wystarczająca tiunika ta staje się wtedy nader dogodną, gdyż o wiele mniéj na nią wychodzi.



N. 4. Bluzkowy fartuszek z rękawkami. Krój i opis na dodatku N. VIII Fig. 26—27.

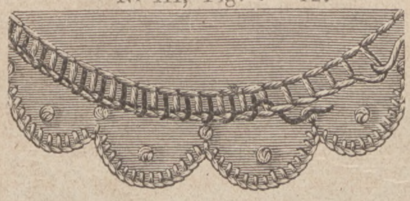
N. 6. Bluzkowy fartuszek zapinany na ramionach.



N. 2. Wieczorowe ubranie głowy.



N. 3. Wycięty stanik z baskiną. Krój i opis na dodatku N. III, Fig. 9—12.



N. 5. Ząbki do fartuszka ryc. 4.



N. 7. Suknia ze stanikiem, z baskiną i przybraniem naśladującem tunikę. Krój i opis na dodatku N. I. Fig. 1—5. Przód.

Chcemy uzupełnić jeszcze nasze jesienne sprawozdanie opisem obuwia, gdyż uważamy kwestję tę za ważną.

W tym celu zwiedziliśmy magazyn obuwia damskiego pani Bałutowskiéj (ulica Niecała N. 10). Wyroby tego magazynu zalecają się trwałością i elegancją.

Między innemi pokazywała nam pani Bałutowska buciki węgierki bardzo wysokie na podwójnéj podeszwie ze skóry szagrynowéj, z noskami lakierowanemi w maszynie wystębnowanemi białym kordonkiem; cholewka z gumy patentowéj najtrwalszéj, przystrojona guziczkami, które tworzą niby zapięcie.

Buciki te kosztują rs. 6. Inne również ze szagrynowéj skóry z noskami lakierowanemi miały wierzch wykładany lakierem niby ranwersem, zakończonym udanym zapięciem na małe sprzączki stalowe. Cena rs. 6. Inne ze skóry kozłowéj na gumie. Cały przód bucika wyszyty białym kordonkiem, tworząc sznurowanie ozdobione guziczkami. Cena ta sama. Wszystkie te buciki na pojedynczéj podeszwie kosztują rs. 5. Pół węgierki rs. 4.

Giemzowe węgierki kosztują rs. 10 zapinane na guziki albo wciągane na gumę. Pół giemzowe rs. 6. Giemzowa skóra, jest matowa, trwała a znacznie cieńsza od szagrynowéj, lecz jéj nigdy czyścić ani szukwasem ani oliwą nie można. Oglądaliśmy zarazem buciki karnawałowe węgierki atłasowe, francuzkim krojem, na fran-

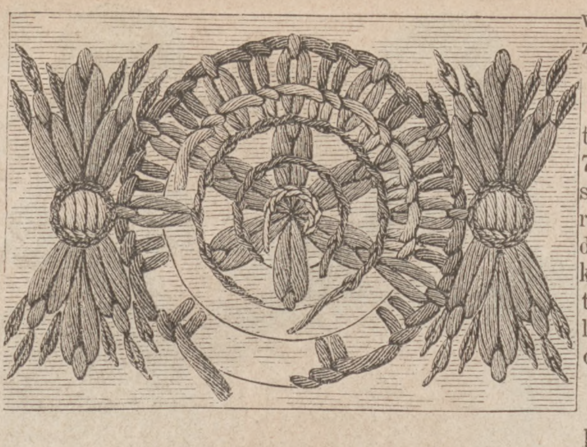


N. 8. Suknia ze stanikiem, z baskiną i przybraniem naśladującem tunikę. Krój i opis na dodatku N. I, Fig. 1 do 5. Tył.

cuzkim atłasowym obcasie z kokardą. Te kosztowały rs. 8, gdyż atłas był w dobrym gatunku z lżejszego atłasu kosztują rs. 6. Tak zwane angielskie trzewiczki (my byśmy raczéj nazwali je bucikami z czasów Ludwików) na obcasach atłasowych z dużą kokardą atłasową i klamrą stalową. Cena od 5 do 6 rs. Prunelowe węgierki rs. 4, pół węgierki 3 sr. Nie potrzebujemy mówić że powyższy magazyn posiada i tańsze obuwie, zresztą dobór tam jest wielki i to nie tylko czarnych ale i kolorowych, które jednak podług nas nigdy dobrze nogi nie ubierają, jak buciki czarne.

Chcemy tu jeszcze zwrócić uwagę naszych czytelniczek że nic tak nie szpeci nogi, jak tyle dziś noszone u nas korki nie słychanéj wysokości, które najszkaradniéj psują chód i ruchy swobodne całéj figury. Niewłaściwym również jest noszenie jasnego bucika do sukni ciemnéj, bucik jasny jest tylko stosowny do sukni balowéj albo do negliżowéj letniéj. Moda noszenia bucików koloru sukni jest modą niedostępną dla każdéj kieszeni, zatem bucik czarny jest zawsze najwłaściwszym.

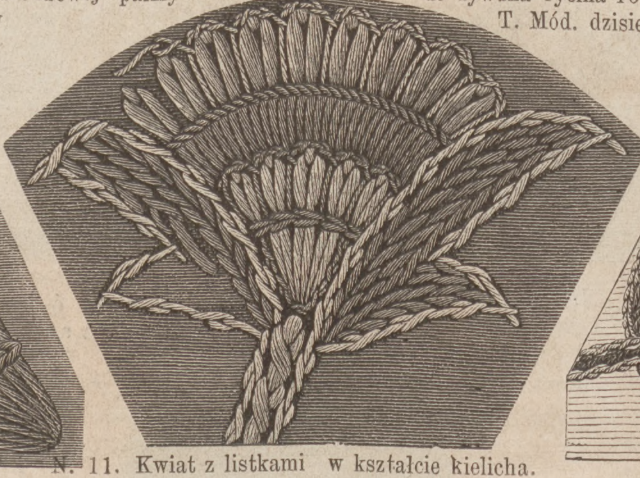
Na zakończenie przypominamy czytelniczkom naszym, o kaloszach Szwedzkich coraz więcéj rozpowszechniających się na małą wilgoć, ponieważ nie mają pięty, tylko kawałek podeszwy, a raczéj kawałek pantofelka i rzemień kauczukowy, który się zakłada na piętę.. Cena ich złp. 5. Kalosze również świeżego fasonu, z obcasem pod pięty, kosztują rs. 1 kop. 20. Kalosze zupełnie zazute obszyte barankiem czarnym lub popielatem rs. 2 kop. 25. Są także i inne aksamitne, które tworzą niby bucik z kaloszem na suknie i futrem oszyte; te kosztują rs. 2 kop. 50. Ponieważ aksamit ulega przemoczeniu i nie prędko wysycha, kalosze takie dogodne są tylko w czasie silnych mrozów.



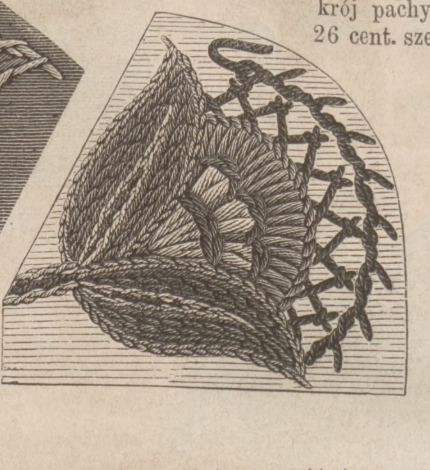
N. 9. Dolny kwiat do środkowej palmy do dywana rycina 16—26 w Numerze 40 T. Mód. Patrz ryc. 10 do 20 w dzisiejszym Numerze.



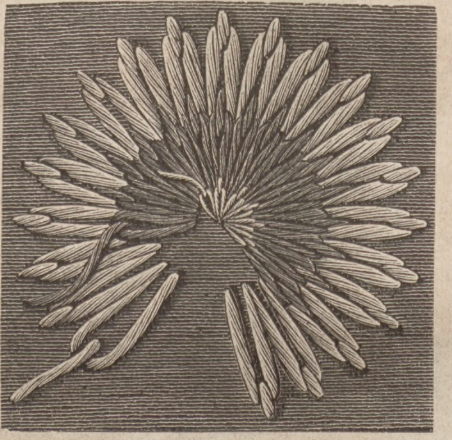
N. 10. Kwiat ściegiem łańcuszkowym do dywanu.



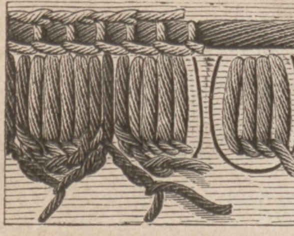
N. 11. Kwiat z listkami w kształcie kielicha.



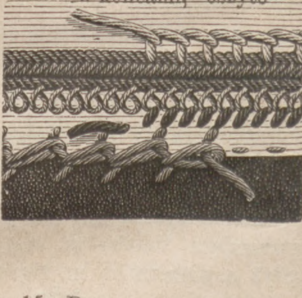
N. 12. Kwiatek z liśćmi w kształcie kielicha do palmy środkowej.



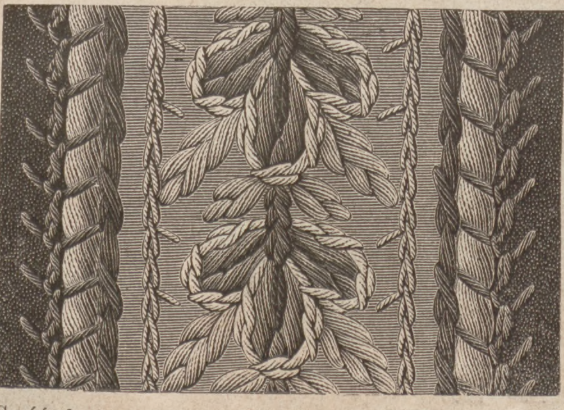
N. 13. Gwiazdka ściegiem podłużnym do dywanu.



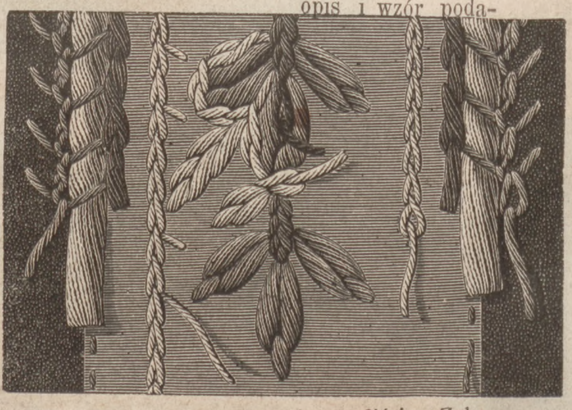
N. 14. Brzeg do palmy środkowéj i narożników dywana. Zob. ryc. 26 w N. 40 T. Mód.



N. 15. Brzeg zewnętrzny wielkiéj palmy narożnéj zobacz ryc. 26 w N. 40 T. Mód.



N. 16. Część skończona liścia nad palmą narożną do dywana. Zob. ryc. 17.



N. 17. Robota kilku ściegów do liścia. Zobacz rycinę 16.

Opis N. 41.

N. 1. Ubranko wizytowe. Podstawę czepeczka składa trójkąt tiulowy 24 cent. długi i 10 cent. wysoki, w środku oszyty w około sztywnym drucikiem. Gustowne djademowe upięcie nad czołem stanowi koronka, jasna kolorowa wstążka, drobne białe kwiateczki i wązka aksamitka, z któréj układają się także pukielki, naszyte w równych odstępach wzdłuż długich, spuszczonych końcy ze wstążki, oszyté z jednego brzegu koronką.

N. 2. Wieczorowe ubranie głowy.

Do takiego ubrania potrzebny jest kawałek tiulu oszyty drucikiem 6 cent. szeroki u dołu, a 3 cent. w górze i 7 cent. długi, na którym układa się całe upięcie. Podstawę taką otacza w około 4 cent. szeroka fałdowana koronka, z tyłu zaś spadają końce koronkowe, ścięte skośno u dołu i złączone kolorową aksamitną kokardą. Na takie końce potrzeba kawałka tiulu 7 cent. szerokiego i 40 centy długiego, oszytego 4 cent. szeroką koronką. Dwa kolorowe pukle ze wstążki i suta gałązka róży z długo spuszczającemi się pączkami, dopełnia ubranie.

N. 4—5. Bluzkowy fartuszek z rękawkami.

Krój i opis na arkuszu dodatkowym.

N. 6. Bluzkowy fartuszek zapinany na ramionach.

Perkalowy w paski fartuszek podany na ryc. 6 jest 54 cent. długi i 76 c. szeroki u dołu. Wykrój pachy 10 cent. głęboki, a 26 cent. szeroki jest w około zaobrębiony. Przód i tył fartuszka po ufałdowaniu wszywa się w podwójny pasek 2½ centym. szeroki, 24 cent. długi, do którego z brzegów przystębnowana jest tasiemeczka w ząbki. Tak samo wykończony jest pasek i ramiączka 17 cent. długie, przypinane za pomocą guzików. Z tyłu pasek przyozdabia rozeta z końcami, oszytemi ząbkami.

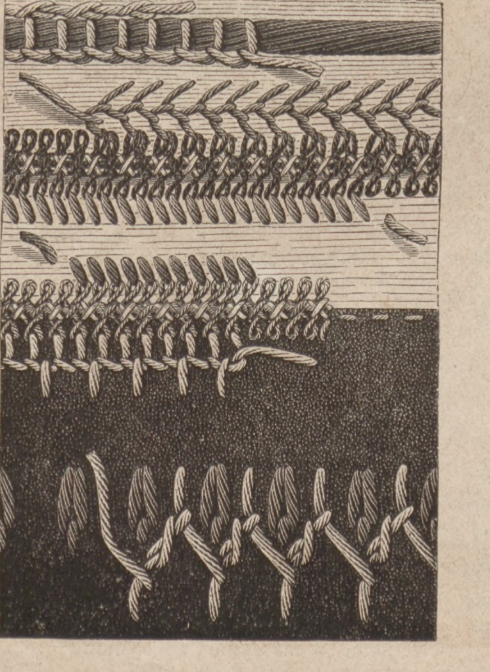
N. 7 i 8. Suknia ze stanikiem z baskiną i przybraniem naśladującem tunikę. Opis i krój na arkuszu dodatkowym.

N. 9 - 20. Różne figury pojedyncze i ściegi do dywana, którego opis i wzór podaliśmy w Numerze 40 Tygod. Mód.

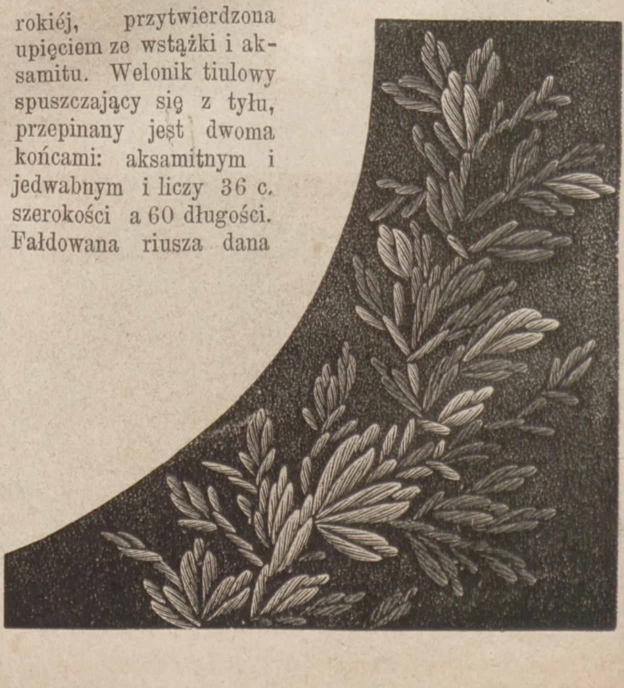
N. 21. Kapelusz dla osób starszych. Rondko czarnego kapelusza rypsowego obłożone jets aksamitem. Bufa upięat z tyłu kapelusza ułożona jest z z kawałka czarnego tiulu w rzucik, trochę zaokrąglonego ku końcom, 46 cent. długiego i 38 cent. szerokiego. Z przodu przyszycie bufy pokrywa riusza fałdowana z koronki 5 cent. szerokiéj, przytwierdzona upięciem ze wstążki i aksamitu. Welonik tiulowy spuszczający się z tyłu, przepinany jest dwoma końcami: aksamitnym i jedwabnym i liczy 36 c. szerokości a 60 długości. Fałdowana riusza dana



N. 19. Gałązka liści do dywana.



N. 18. Wyszycie brzeżne i sposób łączenia środkowéj gwiazdy.



N. 20. Część gałązki do dywan.



N. 21. Kapelusz z rypsu jedwabnego dla starszych osób.



N. 23. Szydełkowa gwiazdka z plecioneczką w ząbki i robotą na widełkach.



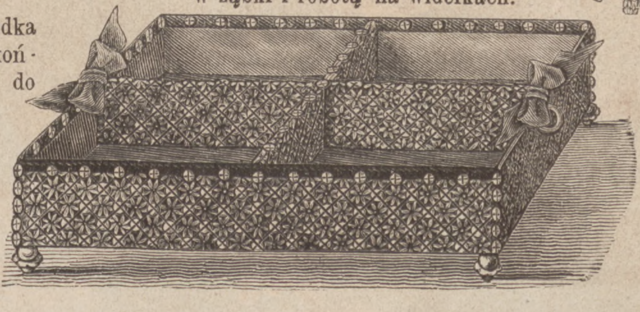
N. 24. Gwiazdka do spajania, zakończona ząbkami do ryc. 18.



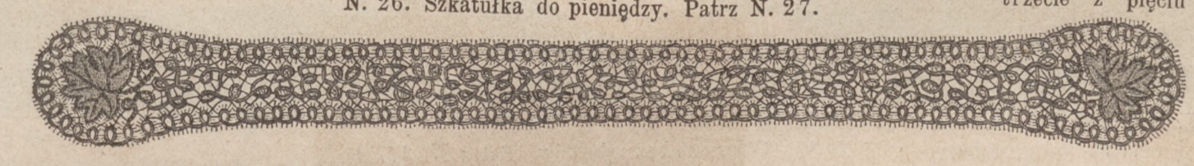
N. 25. Gwiazdka do spajania, zakończona pikotami do ryc. 23.



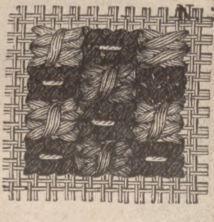
N. 22. Kapelusz z rypsu jedwabnego dla młodej osoby.



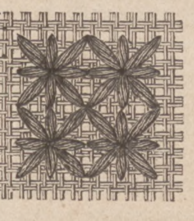
N. 26. Szkatułka do pieniędzy. Patrz N. 27.



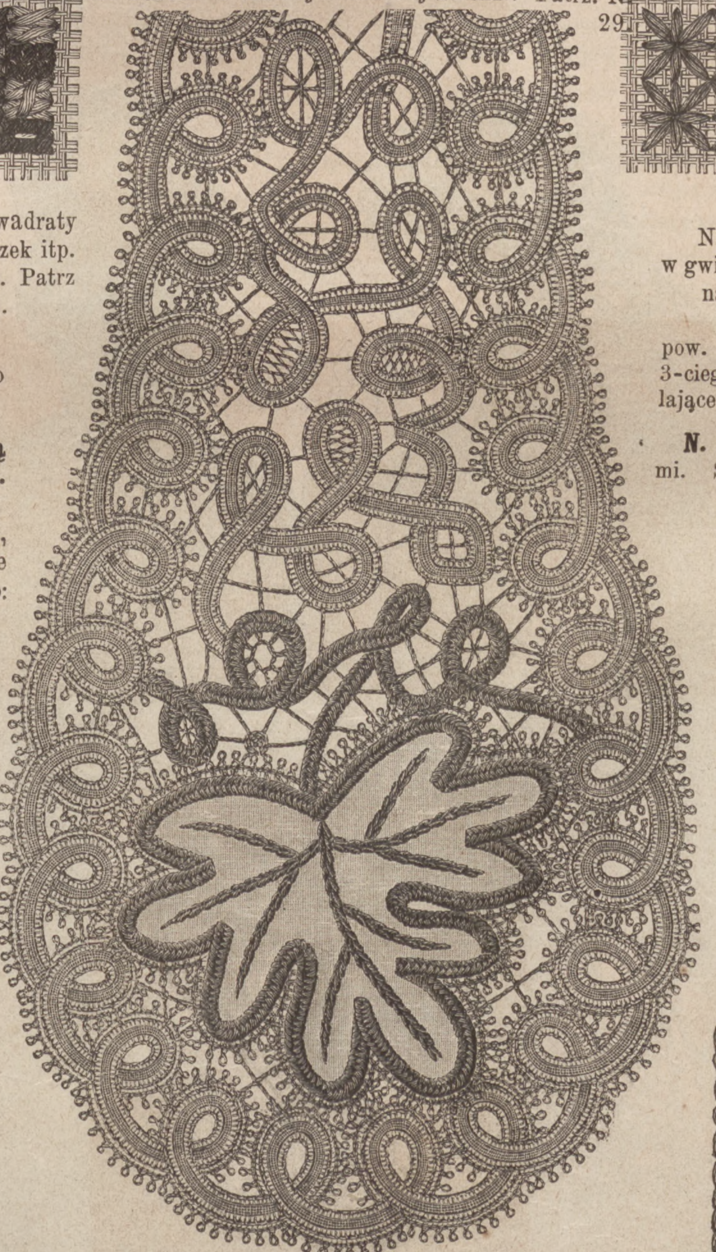
N. 28. Barbka z czarnéj irlandzkiej koronki. Patrz. N. 29.



N. 30. Tło w kwadraty do pantofli, poduszek itp. Robota na kanwie. Patrz N. 31—33.



N. 31. Tło w gwiazdki. Robota na kanwie.



N. 29. Koniec do barbki N. 28. Wielkość naturalna.

jest na przyszyciu welonika i z przodu pod wywija nem rondkiem. Z lewéj strony przypięta gałązka jagód i winne grona zielonawe i czarne.

N. 22. Kapelusz dla młodych osób. Na rycinie 22 podajemy śliczny kapelusz z lila rypsu jedwabnego, przybrany 7 cent. szeroką wstążką tegoż koloru i gałązką białych kwiatów. Trzy jedna na drugą zachodzące pliski pokrywają wywinięte rondko. Skośny kawałek materji 17 cent. szeroki 80—90 cent. długi, na 1 cent. zaobrębiony w około, jest wraz z dwoma końcami przytwierdzony sutą kokardą ze wstążki na wierzchu główki. Dwa długie końce dane są do wiązania z przodu.

N. 23—25. Trzy gwiazdki szydełkowe. Którakolwiek z dwóch małych rozetek służyć może do spajania dużych odrobionych podług ryc. 23 na serwetki do mebli lub na stoliczek; wykończone z czarnego jedwabiu służą jako przyozdobienie guzików.

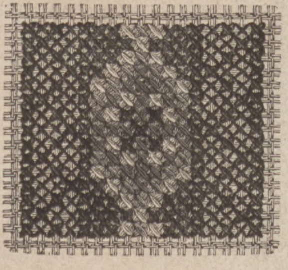
N. 23. Szydełkowa gwiazdka z plecioneczką i robotą na widełkach. Materjał: bawełna kręta Nr. 60 i 70. Środek stanowi kółko spojone z 8 o. pow.

W pierwszym rzędzie zajmuje się w kółko 32 słupki, na 2 rząd idą o. śc. zajmowane w każdy sł., maleńkie ząbki 3 rzędu liczą po 5 o pow: zajmowanych co trzecie o: poprzedniego rzędu. 4 rząd stanowią muszki odrobione w środek ząbków, każda muszka składa się z trzech dwa razy nawijanych sł; 5 ocz: pow: stanowi przejście do następnej muszki. Rząd spojenia szlaczku na widełkach * i dalsze rzędy gwiazdki obrabiają się bawełną N. 70. Zaczyna się rząd 5ty 1 o. śc: w trzecie z poprzednich 5 o: pow: daléj * 5 o. pow. 1 o: śc: w trzecie z 5-ciu pow: powrócić od *. W 6 rzędzie przyrabia się robotę na widełkach i robi 1 o: śc: w trzecie z pięciu o: pow. piątego rzędu * 2 o. pow. 1 o. przejęte za 4 pikoty roboty na widełkach, 5 o. pow. 1 o. śc. przez 4 pikoty, 2 o. pow. 1 o. śc. w trzecie z o. po. Powrócić od *. Górny brzeg roboty na widełkach spajany jest ząbkami szydełkowemi po 7 o. pow. i 1 o. śc. przez 4 p. tak jak od dołu. Plecionkę w ząbki przyrabia się o. pow. i ścisłemi jak to wskazuje rycina.

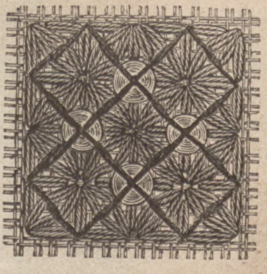
N. 24. Gwiazdka do spajania zakończona ząbkami. Kółko stanowiące podstawę tej gwiazdki liczy zaledwie 4 o. pow. 1 szy rząd zawiera 16 sł., 2-gi 16 o. śc. ząbki 3-ciego rzędu składają się z 3 o. pow. a ząbki rozdzielające muszki liczą po 7 o. powietrznych.

N. 25. Gwiazdka do spajania zakończona pikotami. Środek gwiazdki stanowi robota na widełkach, z jednéj strony zebrana na podwójną nitkę. Pikoty spajają górny brzeg gwiazdki. Rycina 25 wskazuje dokładnie robotę.

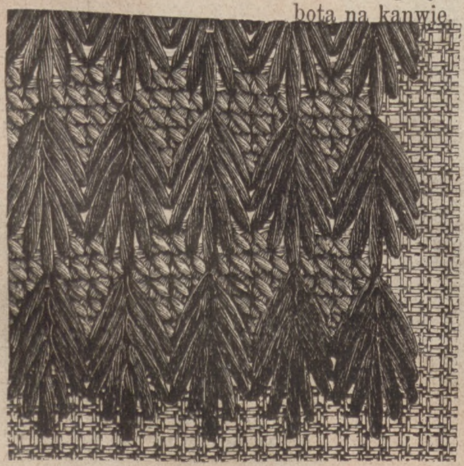
N. 26—27. Szkatułka do pieniędzy. Materjał: Kanwa średniéj grubości; kręta szara bawełna, czarny jedwab kordonkowy; małe gładkie guziki drewniane; duże drewniane perełki, płótno écru, gruby drut, brązowa wstążka, tektura, lak, 2 drewniane kółka.



N. 32. Tło w pasy. Robota na kanwie.



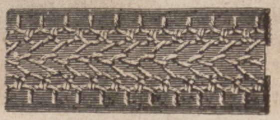
N. 27. Wyszycie z guziczkami drewnianemi na kanwie do ryc. 26.



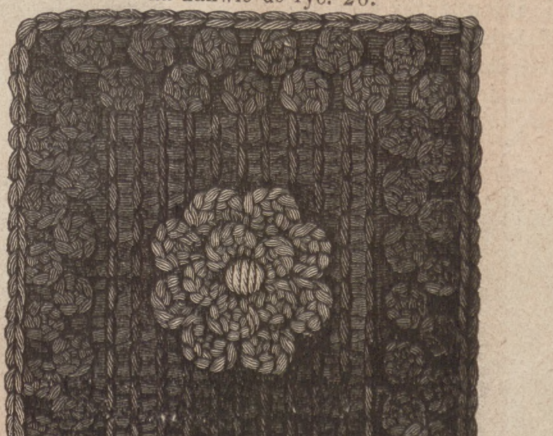
N. 33. Deseń na wachlarze. Robota na kanwie.



N. 35. Wyszywana pliska.



N. 36. Wyszywana pliska.



N. 34. Pas szydełkowy do kołder, wałków pod głowę itp.

Dno i ściany boczne szkatułki 3 i pół cent. głębokiéj, o czterech przedziałach na różną monetę, pokryte są jednym kawałkiem kanwy, wyszytym podług ryciny 27 szarą bawełną, mającym 29 c. długości i 24 c. szer. Wyszycie na kanwie stanowią gwiazdki haftowana bawełną, między któremi drewniane płaskie guziczki przyszyte krzyżykiem, jedwabiem czarnym.

W rogach szkatułki potrzeba z kanwy wyciąć w rogach kwadraty, a pozostałe brzegi zszyć z sobą, przez co nadaje się kanwie potrzebne zagięcia. Sciany boczne, podszyte szarem płótnem, opatrzone są dla sztywności drucikiem, danym u góry i u dołu. Od góry szkatułka objęta jest brązową materją i przyozdobiona naszyciem drewnianych guziczków.



N. 37. Kaftanik bez rękawów. Krój i opis na arkuszu dodatkowym N. IV. Fig. 13—15.

N. 38. Vêtement bez rękawów. Patrz N. 37. Krój i opis na dodatku N. IV. Fig. 13—15.

N. 39. Wycięty stanik z baskiną z przybraniem w kształcie berty. Krój i opis na dodatku N. III. Fig. 9—12.



N. 40. Kokarda z rzymskiéj wstążki.

Środkowe przegrody sztakułki, stanowią ścianki tekturowe od góry, oszyte drutem i powleczone zwierzchu wyszywaną kanwą tak jak szkatułka.

Nóżki składają się z kawałków drutu po 5 cent. długości, które przyszywa się w rogach wzdłuż szkatułki i przykryte są naszyciem drewnianych perełek, u dołu zaś zakłada się na druciki po jednéj dużéj perełce drewnianéj i wkręca drewniane czubki, powleczone lakiem.

Z dwóch stron poprzecznych przytwierdzone są drewniane kółka do podnoszenia i przyszyte dwie brązowe kokardy.

N. 28—29. Barbka z czarnéj irlandzkiéj koronki.

Materjał: plecioneczka jedwabna; tkane pikoty; jedwabny sutasz, jedwab niezbyt cienki, jedwabna grenadina.

Rycina 28 podaje w naturalnéj wielkości koniec barbki, mającéj 100 c. długości, któréj całość podajemy na ryc. 29 w zmniejszonym formacie. Tylko do szlaczka, stanowiącego brzeżne zakończenie, plecionka oszywa się tkanemi pikotami. Łatwy ścieg koronkowy spaja środkowe arabeski. Osobny wykończony listek z grenadiny, stanowiący przyozdobienie i zakończenie barbki, oszyty jest z brzegów sutaszem i pikotami, a w środku ma odznaczone żyłki, ściegiem łańcuszkowym.

N. 30—33. Kilka próbek wyszycia na kanwie do poduszek, pantofli i t. p.

N. 30. Deseń w kwadraty.

Maisowy jedwabny ścieg stanowi środki kwadracików z 6 krzyżyków, zwykłym ściegiem włóczką czarną; między kwadracikami dawane są podłużne krzyżyki włóczką kolorową. Robotę tych krzyżyków objaśnia rycina.

N. 31. Tło w gwiazdki.

Tło to odrobione jedwabiem w czarnym z białym lub jakimkolwiek kolorze, stanowi ładny deseń na poduszkę. Takież gwiazdki na kanwie z niezarobionem tłem, stanowiły by robotę w nowym guście.



N. 41. Kokarda z jednokolorowéj wstążki.

Dalszy ciąg opisu nastąpi w dodatku N. 43 Tyg. Mód.

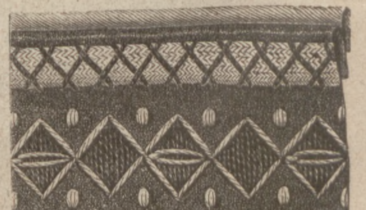


N. 42. Mantyla z wyłożeniem. Przód. Krój i opis na dodatku N. II. Fig. 7—8.

N. 43. Mantyla z wyłożeniem. Plecy. Krój i opis na dodatku N. II. Fig. 6—8.



N. 44. Haftowana pliska do ryc. 37.



N. 45. Haftowana pliska do ryc. 37.